

Od autora: Na początek daję takie małe opowiadanie.

Nadwampir.

Rozdział pierwszy.

„Osikowy kolek wbijany w piersi, czosnek odstraszaający, światłowstręt... dlatego nosi ciemne okulary, zabija inne wampiry wbijając im kolek w piersi i wtedy ich moc przechodzi na niego, lubi czystą, nieskażoną hemoglobinę, najlepiej grupy Rh minus, niezwykczony, nie działają na niego tradycyjne środki odstraszające lub zabijające wampiry, śpi w trumnie na podmiejskim cmentarzu, preferuje niewinne dziewczęce, jest sprytny i przebiegły, niszczy bez litości swoich nieprzyjaciół, wrogów, może się zmieniać w nietoperza lub przybierać ludzką postać, praktycznie niezniszczalny, nocą w mieście sieje postrach - oto krótki opis naszego bohatera, czyli Nadwampira.”

- Cóż za brednie! - Mruknął Piotr zgniatając ze złością gazetę zawierającą cytowany przed chwilą fragment. - On wcale nie mieszka na cmentarzu! Hahahahahahaha... - Znosi się straszliwym, nieziemskim i szyderczym śmiechem. - Gdybyż oni znali prawdę. Ale nie nadeszła jeszcze moja godzina. Do 24-tej mam jeszcze trochę czasu. A wtedy poznają jego prawdziwą naturę! - Unosi do góry pięść i znów znosi się swym charakterystycznym, pozagrobowym chichotem.

Następnie ziewa szeroko i kładzie się do łóżka, nie zdejmując przy tym okularów, bo choć okna są szczelnie zasłonięte kotarami, w pokoju panuje mocny pomrok, on lubi tylko mrok, a właściwie ciemność nocy. Ona go pobudza do życia, powoduje, że staje się tym, kim jest w rzeczywistości - Nadwampirem.

A teraz, póki nasz bohater śpi, przedstawię krótką genezę słowa Nadwampir. Otóż, to pojęcie ugruntowało się wśród wampirów po drugiej wojnie światowej. Jego pochodzenie ściśle wiąże się z nazistowskim pojęciem nadczołwieka. Według nich, nadczołwiekiem jest ktoś „czystej krwi” i w związku z tym obdarzony jakimiś zdolnościami, których nie posiadają tak zwane „niższe” rasy. Otóż w przypadku Nadwampira jest podobnie, z tą tylko różnicą, że on naprawdę posiada moc większą od innych wampirów, o czym przekonamy się w dalszej części naszego opowiadania.

Rozdział drugi.

Piotr budzi się ze snu. Spojrzał na zegarek. Jego wskazówki pokazują godzinę dwudziestą czwartą. Zdejmuje z nosa ciemne okulary i kładzie je na łóżku. - No, to czas na mnie – mówi do siebie i odsłania kotarę.

Do pokoju wdziera się blask księżyca, który dzisiaj jest w pełni. Jego światło nie drażni oczu żadnego wampira, nawet Nadwampira. Otwiera okno. Owiewa go przenikliwy chłód nocy.

- Czas na łowy! - Woła zanosząc się wampirzym chichotem i przemienia się w nietoperza.

W tej postaci wylatuje na dwór. Swoją lot kieruje w stronę pobliskiego cmentarza. Ląduje w samym jego sercu, czyli na środku. Z niezgrabnego nietoperza przemienia się z powrotem w człowieka - na razie przyjął postać Piotra. Jest cały okryty czarnym, jak otaczający go mrok, płaszczem. Kieruje się w stronę pobliskiego grobowca mającego kształt miniaturowego domku. Wchodzi do jego wnętrza. Znajduje się tu

trumna, przed którą płoną dwa znicze. One to rażą jego oczy. Szybko zakrywa gałki powiekami. Podchodzi na oślep do zniczy i dwoma dmuchnięciami gasi je. Ciemność panująca wokół pogłębia się. Obecnie nie rozświetlają jej nawet dwa drżące płomienie.

- Wreszcie mogę otworzyć oczy - mruczy Piotr z ulgą.

Podchodzi do trumny. Coś manipuluje przy wieku, w końcu udaje się mu je otworzyć. Z trumny buchnął trupi odor, który nadwampir wchłania z lubością. Wyjmuje z kieszeni osikowy kołek. Bierze zamach i wbija go w pierś trupa. Z gardła trupa dobywa się nieludzki charkot mrozący krew w żyłach. Nadwampira oblewa zielona posoka tryskająca spod kołka. Zalewa mu twarz. On ściera ją z siebie ręką. Z ubroczonej dłoni z radością zlizuje resztki zielonej posoki. W tym czasie trup otworzył oczy, spojrzał z niewysłowioną męką na nadwampira i gałki oczne wywróciły mu się do góry nogami ukazując swój bladospiny kolor. Trup wyprostował się i zeszywniał.

- No, o jednego wampira mniej – mruknął nasz bohater opuszczając grobowiec. - A ja... Cóż ja?... Moja moc znów się zwiększyła! Hihihahahahhiii... - Jego śmiech napędza grozą cały cmentarz. - To czas coś przekąsić - mówi i zmienia się w nietoperza.

Następnie kieruje się w stronę miasta. Ląduje na jego peryferiach w dzielnicy wille i domków jednorodzinnych. Przybiera postać bruneta o wysportowanej sylwetce i idzie do domku położonego nieco na uboczu. Wchodzi na podwórko, kieruje się na tyły domu, podchodzi do jednego z okien i delikatnie puka w nie w umówiony sposób. Po chwili okno otwiera się i wychyla się z niego głowa blondynki.

- Andrzej, to ty? - pyta dziewczyna.

- Tak ja. Pójdź w me ramiona - szepce nasz bohater.

Nachyla się nad nią jak do pocałunku, lecz zamiast tego w jej szyję wbija swe kły i wysysa z niej część krwi. Dziewczyna w tym czasie traci przytomność. Nadwampir w końcu odrywa się od swojej ofiary.

- Rh minus, moja ulubiona - mruczy i układa dziewczynę na łóżku, następnie ponownie przybiera postać nietoperza i odlatuje do swego mieszkania.

Ląduje w sypialni, zasłania szczelnie kotary, dla pewności ubiera swoje przeciwsłoneczne okulary i kładzie się spać.

Tymczasem na dworze zaczyna się przejaśniać i wkrótce nastaje dzień.

Rozdział trzeci.

Zuzanna obudziła się jakaś dziwnie senna. Nie wiedziała dlaczego. Przecież dzisiaj miała taki piękny sen. Znowu przyśnił jej się on - Andrzej, co wyglądał zupełnie jak Szwarceneger. A przy tym, jaki był realistyczny. „Tylko szkoda, że nie pamiętam, co było po jego pierwszym pocałunku. Widocznie sen musiał się wtedy już skończyć. A szkoda.” - Pomyślała. Wstała z łóżka i spojrzała na zegarek.

- O jejku, już piętnaście po siódmej! Trzeba szybko się zbierać!-

Chwyciła ubranie i ubrała się. W pośpiechu złapała teczkę i wybiegła na dwór.

- Proszę zamknąć za sobą drzwi, nie chciałbym, aby ktoś nas podsłuchał, ponieważ to, co mam panu do zakomunikowania jest przeznaczone tylko i wyłącznie do pańskiej wiadomości...- Szepnął Romuald.

Piotr zamknął za sobą drzwi. Jakieś niejasne przeczucie mówiło mu, że ów nieznajomy przynosi ze sobą zagrożenie, tylko nie wiedział jeszcze jakie. „Pewnie zaraz się dowiem.” Pomyślał sobie.

- Niech pan wejdzie do pokoju – powiedział i wskazał nieznajomemu drzwi do pokoju gościnnego.

Nieznajomy wszedł.

- Czemu tu tak ciemno? - Spytał widząc półmrok panujący we wnętrzu.

- Bo mam pewną chorobę oczu, powodującą ich nadwrażliwość na światło dzienne.

- Hm...- Mruknął nieznajomy. - To zapewne jakaś dziwna choroba?

- Tak - odrzekł Piotr. - Rzadko kto na nią cierpi. W naszej rodzinie chyba tylko ja.

- Ach rozumiem... No cóż serdecznie panu współczuję. Ale ja tu właśnie przybyłem w związku z czym innym. Otóż niech pan uważnie słucha... Mieszka pan blisko cmentarza, prawda? - Spytał z zniechęcenia.

- No... Tak – odparł niepewnie Piotr.

- Czy nie zauważył pan tu w ostatnim czasie czegoś podejrzanego?... To znaczy, nie tu, lecz na cmentarzu? Może słyszał pan w nocy jakieś podejrzanego odgłosy mrozące krew w żyłach? - Zapytał złośliwie Dąbrowski.

- Raczej nie.... Zresztą w nocy często nie ma mnie w domu... Pracuję... Rozumie pan? - Bąknął Piotr.

- No tak... W takim razie przepraszam, że pana nachodziłem - mówiąc to Romuald skierował się do wyjścia.

Zatrzymał się w drzwiach wyjściowych.

- Gdyby pan kiedyś coś usłyszał, to proszę dzwonić.

Podał Piotrowi swoją wizytówkę i wyszedł z jego mieszkania. Piotr spojrzał na wizytówkę. Było na niej napisane: MADSZNZA- Międzynarodowa Agencja Do Spraw Zwalczania Nietypowych Zjawisk Anormalnych. Dyr. Doc. Dr hab. Dąbrowski Romuald. Poniżej firma podawała swój adres i telefon.

- Teraz już wiem, skąd się u mnie wzięło to instynktowne poczucie zagrożenia na widok tego typu! Przecież on zajmuje się także niszczeniem wampirów!!! - Wykrzyknął ze zgrozą. - Czyżby coś podejrzewał w związku z moją osobą?... E, nawet jeżeli, to ze mną nie taka łatwa sprawa! Hahahahaha! Ale na wszelki wypadek zajmę się tobą docenie! Hihihihahahaha... No, a teraz czas najwyższy na dokończenie snu, tak brutalnie mi przerwano przez tego ohydny gburę!... Właśnie! To jeszcze jeden powód, żeby się z nim policzyć - powiedział Piotr i udał się na spoczynek.

Ale myśl o MADSZNZA wciąż nie dawała mu spokoju tak, że przez kilka godzin obracał się w bezsenności z boku na bok. W końcu zasnął z bezwzględnym postanowieniem ukatrupienia Romualda.

Rozdział piąty.

Kolejna noc. Na dworze ciemno i ponuro. Niebo pokryte szczelną powłoką chmur, z których strumieniami leje się deszcz. Porywisty wiatr rozpryskuje krople wody na szybie okiennej. Krople łączą się ze sobą tworząc na niej jednolitą warstwę wody.

Piotr otwiera okno. Woda deszczowa strumieniami wlatuje do mieszkania, a wraz z nią wdziera się wiatr powodując gwałtowne poruszenia się firanki. „To dobra noc na zemstę Nadwampira!” Myśli Piotr i zanosi się swym charakterystycznym nieziemskim śmiechem, tak groźnym w swej wymowie i tchnącym grozą. Przeistacza się w nietoperza i leci nie jak zwykle na podmiejski cmentarz, lecz w odwrotnym kierunku.

Przelatując nad ciemnym zaułkiem zauważa samotną dziewczynę biegnącą przed siebie. „Przydałoby się coś przekąsić i zdaje się, że znalazłem kolację.” Myśli Piotr i śmieje się w duchu swym śmiechem nie z tej ziemi.

Łąduje na ziemi, przemienia się w policjanta i podchodzi do dziewczyny.

- Dobry wieczór pani - mówi.

- Czy pani się zgubiła?

- Tak - odpowiada dziewczyna. - Czy mógłby pan mi wskazać gdzie jest ulica Zachlapana 145?

- Zaprowadzę tam panią.

- Tak będzie bezpieczniej.

- Pewnie. Bo musi pani wiedzieć, że tu roi się od różnych typów, którzy pewnie chcieliby zrobić krzywdę samotnej i pięknej kobiecie.

- A pan mnie zapewne przed nimi obroni?

- Oczywiście! W końcu to mój obowiązek.

Bierze dziewczynę pod rękę.

- To na Zachlapaną?

- Tak.

Idą ulicą. Piotr stara się tak iść, by nie padało na niego światło z nielicznych w tej okolicy ulicznych latarni. Skręcają w boczne rozgałęzienie ulicy.

- Daleko jeszcze? - Spytała dziewczyna.

- Nie - odpowiada Piotr. - To już Zachlapana. Numer 145 jest tam.

Wskazuje ręką jeden dom przed nimi. Dziewczyna odwraca głowę w tamtym kierunku. Wtedy nasz bohater wbija jej się zębami w bok szyi. Dziewczyna krzyknęła przerażona. Próbuje się szarpnąć, ale czuje,

że ogarnia ją coraz większa słabość. W końcu pada zemdlona w ramiona Nadwampira, który spokojnie wyssał jej krew. Wreszcie oderwał się od niej.

- To niestety nie Rh minus, ale na początek może być. Poza tym nie mam czasu na wyszukiwanie smak-
łyków. Teraz mam coś ważnego do załatwienia hahahahahahaha... - Śmieje się najstraszniejszym ze
swoich śmiechów, znów przemienia w nietoperza i kontynuuje swą podróż, czyli rusza w dalszą drogę
rzucając ostatnie spojrzenie na dziewczynę leżącą tam, gdzie ją pozostawił - na środku chodnika.

Rozdział szósty.

Drapacz chmur w centrum miasta. Piętro 265. Pokój numer 1234. To właśnie tu mieści się agentura
MADSZNZA. Jest trzecia nad ranem. Mimo tak późnej pory z pokoju sączy się światło. To znak, że ktoś
tu jeszcze pracuje. Ten, kto by tak sądził miałby oczywiście rację. W biurze obecnie znajdował się jeden
tylko osobnik- mianowicie sam dyrektor tej placówki, pan Romuald Dąbrowski. Siedział przy kom-
puterze i przeglądał w nim jakieś dane.

- Chyba coś mam - wymruczał zatrzymując obraz.

Na monitorze ukazał się napis: „Lista wampirów - spis treści.” Pod spodem były wypisane różne imiona
i nazwiska ułożone w spisie alfabetycznym. - To musi być gdzieś pod W... Zaraz... - Zaczął przeglądać
spis. - Wałbrzych... Nie... Węcek... Też nie... Zaraz! Chyba go mam... Tak to on - Walicki Tomasz... Zo-
baczmy, co o nim wiemy... - Nacisnął jakiś przycisk i po chwili na monitorze pojawiły się dane Walic-
kiego. - Urodził się ęę... Wiem... Zmarł... Tak... Jeden z najgroźniejszych wampirów... O tak, to się zga-
dza... Miałem z nim trochę kłopotów, ale w końcu udało mi się... O jest!... Tak też myślałem. Miał syna o
imieniu Piotr... Hm... Ciekawe, czy to ten sam... Nazwisko się zgadza, imię też. I te zasłonięte okna,
oraz... Jak on to nazwał?... Światłowstręt... Ciekawe, czy to zbieg okoliczności, czy też może to on?... W
każdym razie trzeba się mieć na baczności... Niepotrzebnie odkryłem przed nim karty...Chociaż, może w
ten sposób go do mnie zwabię... Ciekawe, czy zna mnie tak dobrze jak jego ojciec? Nawet jeżeli, to i tak
go dorwę i pokonam, tak jak kiedyś jego starego... I kto by się spodziewał, że zadziała na niego tradycyj-
ny kołek...

Nagle przerwał swój monolog.

Pod drzwiami biura rozległ się jakiś szelest. Spojrzał na drzwi. Klamka wyraźnie drgnęła. Potem zaczęła
się poruszać jakby ktoś próbował otworzyć drzwi. Rzeczywiście, po chwili drzwi zaczęły się uchylać.
Romuald sięgnął ręką za pazuchę, obserwując jednocześnie drzwi. Uchyliły się jeszcze trochę i do po-
mieszczenia zajrzała głowa chłopca.

- A, to ty Zenek, wejdź - rzekł Romuald oddychając z ulgą i jednocześnie wyjmując rękę zza pazuchy.

Zenek był jego asystentem. Dąbrowski przyuczał go do zawodu pogromcy wampirów. W przyszłości
chciał, by chłopak zajął jego miejsce. Chłopak ze swej strony wykazał się pewnymi zdolnościami w dzie-
dzinie zjawisk anormalnych. W najbliższym czasie Dąbrowski zamierzał go zabrać na jakąś typową akcję
zwalczania jakichś duchów, czy upiórów.

- Chciałem się zapytać, jak długo pan jeszcze zamierza tu być? - Spytał chłopak.

- Właściwie to już skończyłem - powiedział dyrektor i wyłączył komputer.

Wziął chłopca pod ramię.

- To chodźmy! - I opuścili biuro.

Skierowali się ku windzie.

- Słuchaj Zenek... Po co żeś ubrał te przeciwsłoneczne okulary?

- To przez ten upał. Słońce świeciło tak mocno...

Tymczasem wsiedli do windy i ruszyli w dół.

- No tak, – odezwał się znowu Dąbrowski - ale teraz to możesz je już zdjąć. Przecież jest noc i słońce nie świeci.

- Zdejmę je na dworze. Przez to słońce razi mnie każde światło, nawet to sztuczne...

- Dobra, rób jak chcesz.... Ale rzeczywiście skoro cię razi, to ich lepiej nie zdejmuj.

Umilkli oboje. Po pewnym czasie winda zjechała na parter. Wyszli z budynku i skierowali się na parking, gdzie Romuald miał zaparkowany swój samochód. Zaczęli się przeciskać pomiędzy innymi pojazdami. W pobliżu oprócz nich nie było widać ani żywego ducha. Profesor szedł przodem, za nim postępował jego asystent.

- W końcu cię dorwałem Dąbrowski - rozległ się głos za plecami profesora.

Odwrócił się szybko na pięcie.

Za nim stał Zenek i dziwnie się uśmiechał.

- Zenek słyszałeś coś? - Zapytał się zaniepokojony Romuald.

- Głupcze! Nie widzisz, że to ja? - Odezwał się Zenek nieswoim głosem.

- Nie poznaję cię Zenek. Nigdy do mnie się tak nie odzywałeś!... Poza tym ten głos... Całkiem ci się zmienił... Czyżbyś przechodził mutację?

- Dość tych bredni! Jestem Nadwampirem! Hahahahaha...

Dyrektor sięgnął za pazuchę marynarki. Wyciągnął stamtąd broń wyglądającą jak pistolet.

- Podдай się wampirze, bo cię zniszczę! Tylko ostrzegam - to nie jest zwykła broń. Jest to samowystre-lacz kołków osikowych! Zaraz ci pokażę jak działa! - Z tym okrzykiem wycelował w pierś Nadwampira i wystrzelił.

Kolek wbił się głęboko w pierś przeciwnika. Nadwampir zaczął się śmiać swoim cmentarnym śmiechem, jednocześnie wyrywając z siebie kołek. Rzucił go na ziemię. Nachylił twarz do dyrektora tak, że znalazła się tuż naprzeciwko twarzy Dąbrowskiego śmiejąc się bez przerwy.

- Jak... Jak to możliwe? - Wykrztusił przerażony Romuald.

- Mnie nie tak łatwo pokonać.

- Ale... Przecież... To zawsze działało na wampiry...

- Na wampiry tak... Ale ja jestem Nadwampirem i tradycyjne środki na mnie nie działają! Hahahahaha!...

- Śmiejąc się zaczął dusić dyrektora, który przerażony złapał za ręce oplatające jego szyję, lecz mimo wszelkich wysiłków nie mógł ich oderwać, a one zaciskały się coraz mocniej.

W końcu zdesperowany machnął rękami i przypadkowo zrzucił przeciwnikowi z nosa przyciemniane okulary.

Oczy Nadwampira zalala fala światła sączącego się spod sufitu jasno oświetlającego kryty parking, na którym się znajdowali. Natychmiast poczuł ostry ból przeszywający mu mózg na wskroś i puścił dyrektora, który szybko odskoczył od niego i zataczając się podbiegł do swego samochodu, zapalił silnik i piszcząc oponami, w mgnieniu oka wyjechał z parkingu; złapał się za oczy. Zawył straszliwie, jakby go ktoś ze skóry obdzierał. Po przesłonięciu oczu rękami ból nieco się zmniejszył, przynajmniej na tyle, że mógł ruszyć się z miejsca. Objijając się o samochody zdołał jakoś odszukać wyjście z parkingu. Oddalił się trochę od niego i ostrożnie otworzył oczy.

Ulica pogrążona była w mroku. Zamienił się w nietoperza i poleciał do domu rzucając w przestrzeń słowa:

- Zemszczę się dyrektorku!

Rozdział siódmy.

Po ciężkich przeżyciach minionej nocy, Piotr pogrążył się w nicość niebytu, czyli zapadł w kamienny sen. Morfeusz, w którego objęciach Piotr usnął, był chyba w niezbyt dobrym humorze, bo zesłał na niego koszmar. Śniło mu się, że jako Nadwampir w postaci nietoperza leci nad miastem. Siada na dachu jednej z podmiejskich kamienic i patrzy na ulicę. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się na niej piękna dziewczyna. Nadwampir poczuł, że kiszki zaczynają mu grać marsza z głodu. Zrywa się z dachu i opada na ulicę. Tam jak zawsze przemienia się w pięknego młodzieńca i chce podbiec do dziewczyny. Ale nogi ma jak z ołowiu, jakby przyrośnięte do podłoża. Udaje mu się z trudem poruszać. W tym żółtym tempie próbuje dogonić dziewczynę, a ona oddala się coraz bardziej. W końcu znika za drzwiami prowadzącymi do wnętrza jednej z kamienic. Po długim czasie chłopak dociera do tych samych drzwi. Otwiera je i wkracza do wnętrza kamienicy. Znajduje się na klatce schodowej, na drugim jej końcu są schody prowadzące na górne piętra. Na jednym ze stopni stoi dziewczyna, której szukał i uśmiecha się do niego czarująco. Na ten widok Nadwampir poczuł, że ślina napływa mu do ust i głód wyżera mu wnętrzności. Musiał natychmiast napić się świeżej, nieskażonej krwi tej dziewczyny, bo inaczej chyba umrze! Spróbował się poruszyć. Tym razem nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa. Poczuł, że znów może się na nich swobodnie poruszać. Skwapliwie skorzystał z tego faktu i szybko podbiegł do dziewczyny, chwycił ją, obdarzył swym usypiającym pocałunkiem. Chciał wbić swe kły w jej młodą gładką szyję... Nagle dziewczyna odwraca twarz w jego kierunku. Piotr ze zdziwieniem spostrzega, że zachodzą w niej jakieś dziwne zmiany. Twarz zdawała się w mgnieniu oka starzeć i po chwili zamiast dziewczyny trzymał w objęciach obrzydliwą staruchę uśmiechającą się do niego swymi bezzębnymi, pokrytymi brodawkami i jakimiś przedziwnymi naroślami ustami. Zrobiło mu się niedobrze, myślał, że zaraz zwymiotuje, chciał jak najszybciej oderwać się od tego okropieństwa, ale nie mógł, bo to stworzenie trzymało go tak mocno, tak mocno! Nagle poczuł straszliwy ból przeszywający mu czaszkę. Ból narastał z każdą chwilą, w końcu tak

się wzmógł, że poczuł w mózgu gwałtowną eksplozję! Oczy jego poraziło bardzo jasne intensywne światło, musiał je gwałtownie zamknąć. Pod powiekami ukazała się w całej swej obrzydliwej okazałości twarz Romualda Dąbrowskiego. Gwałtownie się do niego przybliżyła, prawie, że zderzyła z jego twarzą. Przeżony chciał odskoczyć do tyłu, lecz twarz dyrektora podążała za nim. Nagle Dąbrowski zaczął się śmiać tak straszliwym przejmującym śmiechem. Śmiał się i śmiał. Śmiech był nie do wytrzymania...

Obudził się zlany zimnym potem. Całe ciało miał rozpalone. Czuł, że ma wysoką gorączkę. Poczuł także ogromne pragnienie. Chciał zwlec się z łóżka, ale był tak osłabiony, że zdołał tylko podnieść się na łokciu i zaraz z potem opadł bezwładnie w pościel. Znow zapadł w głęboki sen przypominający jakieś odrętwienie, albo raczej był to stan zbliżony do śmierci. Poczuł, że zapada się w nicość, w jakąś ciemną otchłań bez dna, coś w rodzaju kosmicznej czarnej dziury...

Rozdział ósmy.

Zegar na wieży miejskiego ratusza wybija północ, lecz tym razem po dwunastym wybiciu nie milknie. Rozlega się jeszcze jeden, trzynasty sygnał. Piotr powoli z nicości wraca do rzeczywistości, powraca do świata żywych. Otwiera oczy.

„Ból głowy minął.” Myśli. Dotyka czoła. „Zimne, to znaczy, że gorączka też spadła.” Próbuje podnieść się z łóżka. Poszło mu to całkiem nieźle. Przeciąga się tak mocno, że aż wszystkie kości zatrzeszczały. „Widzę, że ze mną już prawie dobrze, ale łyk świeżego powietrza dobrze mi robi.” Otwiera okno, kilka razy głęboko oddycha i patrzy na świat pogrążony w mroku.

- O, jak dobrze! - Mruczy do siebie. - Czuję się zupełnie jak nowo narodzony... Potrzeba mi tylko jednego - świeżej krwi! Haahahahaha!... Ale najpierw wzmocnię swoje siły!

Zmienia się w nietoperza i leci na podmiejski cmentarz. Siada w pobliżu jednego grobu i przemienia się w postać owiniętą w czarny płaszcz. Następnie z zanadru wyciąga saperkę i zaczyna kopać dół pod nagrobkiem. Wyrzuca wykopaną ziemię na nagrobek, a jama, którą kopie ciągle się powiększa. W końcu saperka trafia na coś, co wydaje głuchy odgłos. Odgarnia szybko ziemię i jego oczom ukazuje się bok trumny. Chwyta uchwyt umieszczony w nim, mocno się zapiera i spod ziemi powoli wyłania się trumna. Stawia ją lekko postępując na ziemi poza wykopanym rowem. Trumnę oblewa trupioblada poświata księżycowa. Jej wieko jest nieco naruszone przez czas. W niektórych miejscach przegniłe, ale trzyma się jeszcze kupy. Nadwampir powoli je uchyla. Podnosi do góry i gwałtownie odrzuca. Światło księżyca oświetla rozpadającego się trupa całego pokrytego robakami, które na widok światła uciekają w głąb niego.

- No, kochanie, teraz jesteś moja! - Wykrzykuje Nadwampir pochylając się nad trupem.

W nozdrza uderza go trupi odór.

- O, czuję, że wyperfumowałaś się dla mnie na tę okazję! Wiesz, ten zapach to mój ulubiony! Hahahahahaha! - Śmieje się Nadwampir. Wyjmuje spod płaszcza osikowy kołek i z rozmachem wbija go w przegniłą pierś trupa. Ciszę cmentarną rozrywa nieziemski krzyk bóleści. Wibruje w uszach Nadwampira, jak najpiękniejsza muzyka i gwałtownie milknie.

- O tak, tego mi było trzeba! Hahahaha! - Śmieje się Nadwampir, przemienia w nietoperza i gwałtownie machając czarnymi jak noc skrzydłami odlatuje zygzakowatym lotem w stronę miasta.

Leci nad ulicami i wypatruje swej ofiary, ponieważ jest bardzo głodny. „Gdzie by tu zajść?... Hmm... Może do Józi?... E, nie! Tam byłem niedawno, może do Kasi?... Albo... Tyle ich jest, że nie wiem, którą wybrać... Chyba poszukam sobie dla odmiany czegoś nowego. To chyba należy mi się po przeżyciach poprzedniej nocy i po odbyciu mojej choroby?...”

- O tak, czas rozpocząć polowanko!!! Hahahahachiiii!!! - Jego śmiech pochłania bezgraniczna ciemność nocy.

Tragedia się powtarza. Nadwampir przelatując obok drapacza chmur na 1995 - tym piętrze widzi śpiącą przy uchylonym oknie młodą dziewczynę. Na oko wygląda na jakieś osiemnaście lat. Zatrzymuje się przed oknem.

- Co my tu mamy? Chyba kolację! Ha... - Chciał się roześmiać swym upiornym śmiechem, ale w porę zatkał sobie buzię.

„Po co ją budzić?” Myśli sobie. „Nie będę przecież sobie utrudniał roboty. Skoro śpi, to nie muszę jej usypiać swym szalonym pocałunkiem amanta filmowego.” Chciał się głośno roześmiać, lecz bojąc się ją zbudzić zrobił to tylko w myśli. Wśliznął się przez okno i rozpętała się w nim burza namiętności. Poczuł tak przemożny głód krwi, że natychmiast rzucił się na szyję młodej osobki i wbił w nią swe pół calowej długości kły. Nasyciwszy się spojrzał z nostalgią na krew sączącą się kropelkami z dwóch wąskich ranek i chwilę podumawszy odleciał w stronę swego domostwa.

Gdy pierwsze promienie słońca zaczęły rozjaśniać wschodnią część widnokregu, Nadwampir przemieniony w Piotra, przy szczelnie zamkniętych kotarach zasypiał w najlepsze najedzony i zarazem odmłodzony.

Rozdział dziewiąty.

Samotny opuszczony dom, a właściwie rozpadająca się rudera o oknach zabitych deskami, gdzieś na skraju starego, nieczynnego obecnie cmentarza. Wśród okolicznych mieszkańców krążą plotki, że kiedyś mieszkał tu młody dwudziesto kilku letni grabarz, który zakochał się w precudnej urody kobiecie z miasta. Była córką miejscowego bogatego kupca. Miłość grabarza była platoniczna, zupełnie bez wzajemności. Gdy wyznał kobiecie głębię swego uczucia, ta go wyśmiała. Następnego dnia, na złość mu, wyszła za mąż za pewnego przystojnego, bogatego i szalenie zepsutego młodzieńca. Gdy się o tym dowiedział, to powiesił się z rozpacz. Teraz podobno o każdej pełni księżyca, równo z wybiciem północy, ukazuje się pod domem jako biała zjawa z pętlą na szyi. Dlatego ludzie boją się tego domu i nie zachodzą do niego. Omijają go z daleka, obawiają się nawet rzucić choćby najmniejsze ukradkowe spojrzenie w jego kierunku. Za to ową rudę upodobały sobie wampiry, a właściwie jeden Nadwampir. Oto przez szparę utworzoną między drzwiami, a na wpół spróchniałą framugą, wraz z porywem wiatru, do środka wlatuje czarny jak bezksiężycowa noc nietoperz. Zwierz opada na drewnianą podłogę i przyjmuje postać Nadwampira szczelnie owiniętego płaszczem, z pozoru podobnego do zwykłego wampira. Przechadza się po wnętrzu domostwa, spróchniałe deski podłogi co pewien czas poskrzypują złowroźnie. Nagle zatrzymuje się na środku zniszczonego przez zmienne koleje losu pokoju i nasłuchuje. Następnie kocim ruchem szybko i bezszelestnie podsuwa się do okna, w którym tkwią resztki stłuczonej szyby. Wygląda przez nie. Rozciąga się stąd widok na część cmentarza.

Na ścieżce prowadzącej do domu, obecnie zarosłej chwastami tak, że ledwo ją widać; coś się poruszyło. To coś wyraźnie zbliżało się do rudery. Po chwili można już było rozpoznać ludzką postać ostrożnie

skradającą się. Człowiek szedł wyraźnie do starego domu. Po jego ruchach widać było, że się czegoś obawia, węszy gdzieś w pobliżu niebezpieczeństwo.

- No w końcu! Nasz dyrektorek dał się podejść. Idzie jak głupiec w zastawione sidła! - Mruczy Nadwampir.

Człowiekiem tak wytrwale dążącym do tego miejsca był Romuald Dąbrowski - znienawidzony wróg Nadwampira. Podsunął się pod drzwi i ostrożnie je uchylił. Nie zobaczył nic podejrzanego, więc wsunął się do środka. We wnętrzu rudery zalegał mrok taki sam, a może nawet jeszcze większy, niż na zewnątrz. Tak, z pewnością większy... Gdy Romuald przekroczył próg domostwa, drzwi wejściowe zatrzęsły się z hukiem, aż cały budynek zadrżał, a z sufitu poleciały stare, nadpróchniałe wióry oderwane z nie najlepiej już trzymających desek. W tym momencie zza gęstej powłoki chmur okrywających niebo przedarł się blask księżyca, przeniknął do wnętrza i ukazał jakąś postać przy oknie.

- To pan chciał ze mną porozmawiać o poskromieniu Nadwampira? - Zapytał spokojnie dyrektor.

- Tak chciałem pogadać - odezwała się postać dość chropawym, jakby nieswoim głosem.

Człowiek ów podszedł do Dąbrowskiego i nachylił się nad nim. Kaptur okrywający mu głowę zsunął się na plecy i w blasku księżyca ukazała się jego twarz.

- Czy teraz mnie poznajesz? - Zapytał złowróźnie.

Dąbrowski zbladł. Rozpoznał w owej postaci Nadwampira, którego od tyłu miesiące ścigał.

Rozdział dziesiąty.

Auuu... Auuuu... Rozległo się z pobliskiej kniei. Wycie było przepełnione tak bezbrzeżnym smutkiem, miało taką głębię, że niejednemu człowiekowi wycisnęłoby łzy żalu z oczu, a zaraz potem pewnie by go przeszedł dreszcz przerażenia, no bo owe wycie brzmiało naprawdę wręcz nieziemsko...

„Godzina piąta trzydzieści. Nad miastem odbywa się osobliwy spektakl. Bardzo widowiskowy spektakl. Jest to pora, gdy noc styka się z dniem. Podczas, gdy na zachodzie zalega jeszcze ciemność, na wschodzie pojawiają się pierwsze przebliski dnia. W miarę jak słońce wznosi się ponad linią horyzontu, ciemność cofa się coraz dalej w kierunku zachodnim, aż w końcu zanika. Królestwo nocy ustąpiło miejsca królestwu jasności... A teraz podajemy wiadomość z ostatniej chwili. Na naszym cmentarzu jeden z naszych reporterów natchnął się na jakiegoś mężczyznę. Leżał na podłodze w starej rudery położonej na jego obrzeżach i nie ruszał się. Wglądał jak nieboszczyk. Po dokładnej analizie okazało się, że tli w nim isierka życia. Miał ledwo wyczuwalne tętno. Natychmiast została wezwana karetka i zabrała owego osobnika do szpitala. Tu stwierdzono, że ów mężczyzna w wyniku kilkakrotnego uderzenia jakimś twardym przedmiotem doznał uszkodzenia podstawy czaszki i znajduje się w szoku. Temu człowiekowi grozi wstrząs mózgu. W tej sytuacji sprawą zajęła się policja. Każdy, kto cokolwiek by wiedział, czy może coś widział lub słyszał, czyli po prostu mógłby rzucić jakiejkolwiek światło na tę sprawę, proszony jest o zawiadomienie o tym policji...”

Piotr wyłączył radio. „A więc jednak żyje” pomyślał. „Tym razem spartaczyłem sprawę, ale następnym razem to już się nie powtórzy. Tylko tym razem będzie trochę trudniej. Bo jeżeli z tego wyjdzie cało, to pewnie będzie bardziej ostrożny... Ale ja i tak go dorwę, choćby nie wiem jak się zabezpieczył.” Rzekł

sobie w myśli. Podszedł do lodówki, wyjął z niej zsiadłe mleko i kielbasę. Mleko wlał do szklanki, kielbasę pokroił na plasterki, położył je na połówkę bułki i zaczął jeść śniadanie. „Przygoda z doktorkiem tak mnie podnieciła, że chyba dzisiaj nie zasnę.” Pomyślał zając bułkę. Zjadł ją, zapił mlekiem i poszedł do sypialni. Zamknął oczy i próbował zasnąć, lecz sen nie przychodził. W końcu na godzinę przed zmierzchem zapadł w płytką drzemkę. Przeleżał tak do dwunastej w nocy. Następnie w bardzo złym nastroju, w postaci nietoperza przez okno opuścił mieszkanie. Poleciał prosto do szpitala, sprawdził w nim wszystkie okna, każde próbował otworzyć, ale nie udało mu się. Na tych próbach zeszła mu większa część nocy. W końcu poczuł głód hemoglobiny. Wyruszył na poszukiwanie ofiary. Znalazł coś stosownego tuż przed świtem. Ledwo zdążył się nasycić krwią swej ofiary, już musiał pędzić do domu. Wrócił w ostatniej chwili. Gdy zasłaniał zasłonki w sypialni, słońce swymi promieniami właśnie zaczęło ogarniać ziemię. Poczul takie zmęczenie, że od razu opadł na łóżko i zasnął snem bez żadnych majaków. Następnego nocy wstał bardziej wypoczęty i w lepszym humorze.

- Nie będę sobie zaprzętał głowy tym bęcwałem! - Wykrzyknął. - Teraz idę się zabawić!

Otworzył okno i wyleciał na ulicę. „Zaraz, przecież dzisiaj święto duchów. Lecę na spotkanie z kumplami. Nie widziałem ich już od dobrych kilku wieków. Ciekawe, co u nich słychać?” Pomyślał i skierował się na tradycyjne miejsce spotkań istot nieludzkich. Była nim samotna góra pokryta do połowy lasem. Jej wierzchołek był jakby ścięty, tworzył łysy, nie porośnięty żadną roślinnością, płaski obszar. Wyglądał na jego środku. Rozglądał się dokoła.

- Chyba jestem tu pierwszy - mruknął do siebie nie widząc w pobliżu żadnej istoty. - No tak, dwunasta dopiero za trzy minuty. - Wymruczał patrząc na zegarek.

Nadwampir miał rację. Z wybiciem godziny dwunastej na górę zaczęli zlatywać się goście. Przybyły wszystkie duchy, diabły i czarownice, jakie tylko istniały na świecie. Gdy wszyscy się zebrali, rozpoczął się diabelski taniec. Przy akompaniamencie wycia, upiornych śmiechów i innych piekielnych odgłosów wszyscy zaczęli szaleńczo wirować. Po kilku godzinach rozległ się donośny głos:

- A teraz czas na biesiadę!

I zaraz spod ziemi zaczęły wyrastać stoły pełne smacznego jedzenia. Leżały na nich ułożone w naczyniach w kształcie otwartych trumien ludzkie trupy w różnym stopniu rozkładu. Wszyscy się na nie hurmem rzucili tak, że po godzinie nic już nie było, oprócz nagich, obdartych z najdrobniejszego skrawka mięsa, połyskujących w świetle księżyca szkieletów porzucanych w nieładzie nie tylko po stołach, ale także po całej równinie. Wśród tego walały się strzępy porzucanych trumien. Nagle stoły zniknęły i znów odezwała się piekielna muzyka. Wszyscy ruszyli w tany. Tańczyli tak wśród porzucanych kości, dopóki niebo na wschodzie nie zaczęło szarzeć. Wtedy wszyscy rozbiegli się na wszystkie strony i każdy ruszył w drogę powrotną. Gdy słońce wzeszło, nic nie wskazywało na to, że w nocy coś się tu działo. Na nagiej równinie nie pozostał żaden ślad po nocnej orgii. Nawet kości gdzieś zniknęły. I znów, jak co dnia wiatr rozwiewał piasek ze szczytu zsypując go w dół zboczy, prosto na las pokrywający je.

Rozdział jedenasty.

Po przeżyciach ostatniej nocy Piotr spał twardo aż do północy. Przedtem nic nie zdołałoby go obudzić, nawet gdyby cały dom zwałił mu się na głowę. Nie wiem nawet, czy obudziłyby go trąby archanielskie zwiastujące wszystkim śmiertelnikom koniec świata. Na całe szczęście nic takiego nie zaistniało, bo nieźle by się zdziwił, gdyby obudził się nie we własnym łóżku, tylko w łóżu madejowym. Zresztą któżby

się w tej sytuacji nie zdziwił? Na szczęście godziny, w których spał charakteryzowały się ciszą i spokojem, przynajmniej w pobliżu jego domu. Gdy się obudził, poczuł, zresztą jak zwykle, nieodpartą chętkę przewietrzenia się. Poza tym odezwał się w nim zew krwi - podstawowy instynkt samozachowawczy kładący mu się jak najprędzej pożywić niewinną krwią dziewcząt. To uczucie było tak przejmujące, że zaraz po wyleceniu z domu przez okno, udał się na przedmieście w kierunku domku stojącego nieco na uboczu. Tam, swoim zwyczajem, uwiódł piękną córkę gospodarzy i pożywił się jej krwią. Była to Rh minus, jego ulubiona. Owa uczta wprowadziła go w dobry humor. Zadowolony przemienił się z pięknego młodzieńca w nietoperza i postanowił rozejrzeć się trochę po mieście. Lecił dosyć wysoko, oczywiście jak na niego. W dole pod nim przesłonywały się z wolna budynki miasta, wyglądające z tej odległości jak różnobarwne pudełka o zmiennych kształtach. Nagle zatrzymał swój lot. Zobaczył bowiem szpital miejski i zaraz przypomniał mu się doktor. Opadł na boczną uliczkę, przemienił się w policjanta, z kieszeni wyjął przyciemniane okulary i skierował się do szpitala. Wszedł przez drzwi wejściowe i skierował swe kroki do recepcji.

- Pan do kogo? - Spytała recepcjonistka obrzucając go zdziwionym spojrzeniem.

- Jestem z CIA. Moi szefowie powiedzieli mi, że przebywa tu niejaki Romuald Dąbrowski.

- Chodzi panu o tego człowieka z cmentarza?

- No tak. Tego, którego ktoś pobił na cmentarzu.

- Właśnie dzisiaj wyszedł ze szpitala. Został wypisany o dwudziestej. Nie powiadomiono pana o tym?

- Nie. Widzi pani jacy ci z federalnej potrafią być złośliwi?! Tylko dlatego, że pracuję w CIA nie powiadomili mnie o tym, chcąc żebym przychodził tu na darmo! No nic, przepraszam za kłopot i do widzenia - odwrócił się i wyszedł czując na plecach zdziwione spojrzenie recepcjonistki.

Skręcił w najbliższy zaułek. Zaczął powoli zagłębiać się w niego. Nagle z pobliskiej bramy wynurzyło się kilku wyrostków. Na ich widok chciał się cofnąć. Odwrócił się i zobaczył, że z tyłu też kilku z nich stoi. Zaczęli się zbliżać. Jeden stanął przed nim w wyzywającej pozie. Wyciągnął nóż.

- Czego tu węszysz gliniarzu?! Szukasz kogoś? No mów! - Mówiąc to zamierzył się nożem, chcąc go wbić mu w brzuch.

Nadwampir chwycił człowieka za rękę i rzucił o mur pobliskiego domu. Chłopak uderzył weń głową tak mocno, że pękła mu czaszka, a mózg zmieszany z krwią rozprysł się na wszystkie strony, zachlapując ścianę i część chodnika różowo białą breją. Bandyci spojrzeli po sobie, cofnęli się o krok.

- Musimy pomścić śmierć naszego szefa! - Wrzasnął jeden z nich. - Dalej na niego!

Rzucili się na niego pełną zgrają, próbując wbić w niego swe noże. Wtedy poczuł wzbierającą w nim złość. A jak wiadomo, rozłoszczony Nadwampir jest zdolny do wszystkiego. Chwycił kilku najbliższych za ręce i zaczął nimi okładać innych. Po dziesięciu minutach walka była zakończona. Został sam, a wokół ulicę zaścielały trupy tak zmasakrowane, że wyglądały jak ochłapy mięsa zmieszanego z krwią, mózgiem, flakami i ulicznym brudem. Nad tym wszystkim górowała postać Nadwampira czerwonego od krwi swych ofiar, która go zbryzgała. Nagle ciszę nocy przerwał pozagrobowy śmiech Nadwampira mrozący krew w żyłach okolicznych mieszkańców. Nad ulicę wzniosła się czarna postać nietoperza, mie-

niącego się czerwono w słabej poświacie księżyca.

Piotr wrócił do domu.

- Będzie z tym nieco roboty - rzekł wchodząc do wanny i odkręcając wodę.

Rozdział dwunasty.

Pielęgniarka podeszła do jego łóżka.

- Panie Dąbrowski...

- Tak? - Dzisiaj został pan wypisany ze szpitala. Proszę, oto pańskie ubranie.

Skierowała się w stronę wyjścia.

- Dziękuję pani - rozległ się głos od łóżka.

Przy samych drzwiach odwróciła się i uśmiechnęła.

- Ma pani ładny uśmiech.

- Dziękuję za komplement. Ale niech pan się już ubiera - powiedziała i zamknęła drzwi.

Romuald wstał z łóżka. Wyglądał dosyć dobrze. Ślady pobicia właściwie już zniknęły, pozostała jedynie niewielka blizna nad prawym łukiem brwiowym, reszta obrażeń zniknęła bez śladu. Ubrał się i wyszedł na korytarz. Naprzeciwko drzwi wisiało duże lustro, które w tym momencie odbiło całą jego postać. Spojrzał na swoje odbicie. „Ale ta medycyna uczyniła duże postępy.” Myślał przyglądając się swojej postaci. „W ogóle nie widać po mnie, że byłem taki pokiereszowany.” Pokręcił ze zdziwieniem głową i skierował się w stronę schodów. Zszedł na parter, przeszedł koło portierni, następnie drzwiami wyjściowymi wyszedł na zewnątrz. Tu po raz pierwszy od kilku miesięcy zaczerpnął świeżego powietrza pozbawionego zapachu szpitalnego, charakterystycznego dla wszystkich szpitali. Wciągnął je głęboko do płuc. Świeżość, która go wypełniła pozbawiła go na chwilę tchu. Wypuścił nagromadzone w płucach powietrze i zaczął oddychać spokojniej. Po uspokojeniu oddechu skierował się w stronę postoju taksówek, gdzie złapał taksówkę i zajechał do domu.

- Jak to dobrze powrócić na stare śmiecie – mruknął wchodząc na trzecie piętro kamienicy, gdzie na końcu korytarza mieściło się jego mieszkanie.

Stanowiło ono przytulne gniazdko, w którym mógł spokojnie wypocząć po dniu spędzonym w robocie. Zajmował pokój z kuchnią i łazienką. W pokoju najwięcej miejsca zajmowała bogata biblioteczka mieszcząca w swym wnętrzu wszystkie książki zajmujące się wampirami, wiedźmami, czy innymi upiorami z piekła rodem. Spojrzenie na książki spowodowało, że przypomniał sobie z jaskrawą wyrazistością swoje spotkanie z tym okrutnym, niemiłosiernym Nadwampirem. Najjaskrawiej przed oczyma ukazało mu się wspomnienie ostatniego spotkania, podczas którego o mały włos nie wyzionąłby ducha. Postanowił wymyślić coś, jakiś sposób, by zabezpieczyć się przed czymś podobnym na przyszłość. Myślał dobrych kilka godzin, w końcu postanowił na przyszłość być ostrożniejszym i unikać takich podejrzanych sytuacji. „Swoja droga” myślał „... Jak mogłem dać się wciągnąć w pułapkę i to zastawioną w tak prymitywny sposób? Nigdy sobie tego nie wybaczę, a na przyszłość muszę być nie tylko chytry, ale też ostrożniejszy,

bo z tym potworem rzeczywiście nie ma żartów. Szczególnie, że się na mnie wziął. A z niego to prawdziwie zawzięta bestia. Na pewno nie popuści, dopóki jeden z nas nie zginie. Ale ja nie dam się tak łatwo, jakem Romuald Dąbrowski!” Postanowił. Po tym intensywnym myśleniu poczuł głód i poszedł do kuchni zrobić sobie coś do jedzenia. Po skończonym posiłku poszedł do pokoju i wziął torbę ze sprzętem do zwalczania wampirów, wiedźm, upiorów i tym podobnych.

- Najwyższy czas wybrać się na mały rekonesans - mruknął do siebie i ruszył do drzwi wyjściowych, które wyprowadziły go wprost na chodnik ciągnący się wzdłuż najbardziej zatłoczonej ulicy miasta.

Znalazłszy się tu, ruszył w stronę parkingu, gdzie stał zaparkowany jego ford passat. Parking był oczywiście strzeżony. Jego wóz był na drugim piętrze. Dostał się tam dzięki wewnętrznej windzie. Na odpowiednim piętrze wysiadł z niej, dotarł do swego samochodu, podjechał do specjalnej rampy, która zwozła go na dół, wprost na uliczkę wyjazdową łączącą się z główną ulicą. Na końcu ulicy czekał, aż między przejeżdżającymi samochodami zrobi się tyle miejsca, by zmieścić jego pojazd i włączył się do ruchu ulicznego głównej arterii miasta. W narastającym ścisku zbliżał się do centrum, następnie pojechał dalej. W miarę jak dojeżdżał do peryferii, tłok malał. W końcu skręcił w boczną uliczkę. Tu już nie było tłoku. Właściwie nie było widać żadnego innego samochodu. Romuald się temu nie dziwił, no, bo w końcu, kto o zdrowych zmysłach pchałby się samochodem do najuboższej dzielnicy miasta. Nikt poza Dąbrowskim. No, ale on to co innego. Ma tu interes do załatwienia.

W miarę zagłębiania się w zaułek mijane domy stawały się coraz bardziej odrapane. Niektóre wyglądały tak, jakby miały się zaraz rozsypać. W jako takim pionie utrzymywały je jedynie drewniane pale podtrzymujące w wielu miejscach popękane ściany pokryte liszajami szaroczarnych grzybów. Od tego nalotu niektóre domy wyglądały jakby ich wszystkie ściany pokrywała puszysta ciemna wykładzina. Na chodnikach kręciło się mnóstwo dzieci w podartych ubraniach. Duża część bawiła się na jezdni. Na widok samochodu najpierw patrzyły ze zdziwieniem, następnie w ostatniej chwili, prawie przejechane, uskakiwały na wąski chodnik. Od czasu do czasu z rzadka pojawiali się starsi. Ci umykali szybko do ciemnych czeluści bram, zapewne biorąc jego za gliniarza z jakiejś prywatnej agencji poszukującego kogoś z nich. Kogoś, kto popełnił jakieś poważniejsze przestępstwo. A takich „niebieskich ptaszków” było tu bardzo dużo, od grona, poza tym nikt nie chciał mieć tu nic wspólnego z gliniarzem, bo jeśli nawet był niewinny, to mógł przez kontakt z nim być narażony na poważne nieprzyjemności ze strony tutejszych gangów. Tak, każdy gliniarz był tu traktowany jak trąd, czy jakaś inna groźna zaraza. Dąbrowski się tym nie przejmował. W ogóle nie zwracał uwagi na ludzi. Jechał pewnie do wytyczonego sobie celu.

Rozdział trzynasty.

Czerwony passat, którego karoseria rażąco odbijała promienie słoneczne, zatrzymał się z piskiem hamulców przed jedną z ruder. Wysiadł z niego niepozorny człowieczek z teczką w ręku. Ów osobnik skierował się śmiało i bez wahania w stronę ciemnej czeluści pobliskiej bramy stanowiącej wejście do pobliskiego budynku i wszedł w nią. Ogarnęły go zupełne ciemności. Przystanął na chwilę żeby przyzwyczaić do nich wzrok i ruszył po rozsypujących się schodach na górne piętro. Wszedł w ciasny korytarzyk, minął kilkoro drzwi prowadzących do nędznych nor, które tutejsi mieszkańcy szumnie nazywali mieszkaniem i zatrzymał się przed drzwiami na samym końcu owego korytarza. Były to cienkie drewniane drzwi, byle jak sklecone z kawałka drewnianej dykty znalezionej gdzieś na śmietniku pobliskiej dzielnicy bogaczy, gdzie czasem robili wypadki mieszkańcy tej dzielnicy. Wyprawy te wiązały się z dość dużym ryzykiem, bowiem dzielnica bogaczy była dobrze strzeżona i trudno było się tam dostać. Romuald, bowiem to on był owym mężczyzną z passata, zapukał do drzwi w specjalnie umówiony sposób. Zapadła

cisza. Po chwili za drzwiami dało się słyszeć ostrożne kroki. Umilkły tuż przy drzwiach.

- Kto tam? - Dał się słyszeć ochryply głos.

- Romuald - odparł ten, do którego skierowane było pytanie.

Drzwi uchyliły się ostrożnie. Ze szparki utworzonej w ten sposób na twarz Dąbrowskiego buchnęła kaskada światła z małej, lecz mocnej latarki. Profesor stał bez ruchu, tylko przymknął oczy porażone tą nagłą obfitością światła. Latarka zgasła i drzwi otworzyły się na całą szerokość, ukazując za progiem postać starszego człowieka ze starą strzelbą w dłoniach.

- Wejdz stary - z bezzębnych ust staruszka wydobył się ochryply głos, tym razem nie przytłumiony przez drzwi.

Zaproszony wszedł. Znalazł się w dość jasnym pokoju oświetlonym światłem gołej żarówki zwieszającej się na czarnym kablu z sufitu, z oknem na zewnętrznej ścianie wychodzącym wprost na północną część dzielnicy. Widok na nią przesłaniała ściana sąsiedniego budynku. Starzec gestem ręki zaprosił go do środka, jednocześnie pokazując żeby usiadł na jedynym meblu znajdującym się tutaj. Była to długa ława połączona ze stołkiem w kształcie prostokąta i tworząca z nim jedną wspólną całość. Poza tym w rogu pokoju stała kuchenka gazowa - rarytas, na jaki nie każdy mieszkaniec tej dzielnicy mógł sobie pozwolić. Stał na niej czajnik z wodą. Z dolnej części kuchenki, tam gdzie zwykle znajduje się piekarnik, starszy człowiek wyciągnął dwie szklanki i słoik z herbatą. Postawił to na stole, odkręcił słoik i wsypał do każdej ze szklanek po trochę ciemnego proszku, następnie zakręcił słoik i odłożył go na miejsce. Tymczasem gwizdek w czajniku zaczął gwizdać oznajmiając w ten sposób, że woda się gotuje. Staruszek zdjął gwizdek z dzióbka czajnika, chwycił czajnik i zalał herbatę.

- Za pięć minut będzie gotowa - mruknął.

Dąbrowski bez słowa skinął głową. Spokojnie czekał aż skończy się ceremonia parzenia herbaty, bowiem wiedział, że gdyby przedwcześnie zaczął rozmowę, to Stary Tom - tak kazał się tytułować staruszek - mógłby się na niego obłazić i bezceremonialnie go wyrzucić ze swego mieszkania. Tymczasem starzec usiadł obok Romualda na ławie i uważnie zaczął wpatrywać się w ciemniejący napój. W końcu, gdy uznał, że nie będzie mocniejsza chwycił szklankę.

- Napijmy się - rzekł upijając łyk herbaty.

Dąbrowski zrobił to samo.

- Hm, dobra – mruknął.

Stary uśmiechnął się. Pochwała Romualda wywarła pożądaný skutek. Stary Tom był usatysfakcjonowany. Teraz można było zaczynać rozmowę.

- Więc, z czym do mnie przyszedłeś? - Zapytał ciekawie Tom.

- Słyszałem, że masz jakiś nowy poskramiacz wampirów - zaczął Dąbrowski.

- Skąd to wiesz? - Zdziwił się stary.

- Sława twoja, jako naukowca, roznosi się daleko po świecie, więc i mnie obilo się co nieco o uszy...

- Ach tak. I pewnie chciałbyś zobaczyć ową maszynę?- Zaciekał się Tom.

- No tak...

- Hm... Czy ja wiem?.. - Zastanawiał się. - Dobra, niech będzie, zobaczysz ją - zdecydował się.

- Chodź. - I ruszył w stronę jednej z bocznych ścian.

Romuald spojrział się nieco zdziwiony, ale na zachęcający ruch rękoma swego przewodnika, też tam podszedł. Ze ściany wystawał jakiś pręt. Staruszek przekręcił go tak, jak przekręca się klucz w zamku. Ściana drgnęła i ruchem obrotowym obróciła się o 90 stopni, ukazując mroczne wnętrze. Stary Tom pogrzebał w kieszeni. Wyjął z niej swoją latarkę i zapalił ją. Oczom Dąbrowskiego ukazała się wąska klitka. Pod przeciwległą ścianą stał stół. Starszy człowiek podszedł i wziął z niego przedmiot przypominający pistolet. Podał go Romualdowi.

- Oto ona - rzekł do profesora.

- Co to jest?

-To ta maszyna.

- A jak ta... Hm... Maszyna działa?

- Powoduje unicestwienie każdego wampira znajdującego się od ciebie na odległość strzału ze zwykłego pistoletu.

- Jesteś pewien, że to działa?

- Jasne... Widzę, że mi nie wierzysz?

- No nie wiem...

-Przecież wiesz, że Stary Tom nigdy nie robi żadnych partactw. Na mojej robocie można polegać - rzekł stary obrażonym tonem.

- No dobrze, wierzę ci... Na dowód tego chciałbym od ciebie to kupić.

- W zasadzie nie sprzedaję swoich wynalazków, ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek. Dasz mi swoją marynarkę, a ja dam ci to... I co ty na to? - No cóż... Dobra bierz ją - I Romuald dał Tomowi marynarkę, w zamian za co otrzymał poskramiacz wampirów. Miał on o wiele większą moc niż te dotychczas stosowane. „No, to teraz strzeż się Nadwampirku, bo to musi na ciebie podziałać, czy chcesz tego, czy nie.” Myślał wsiadając do samochodu i ruszając w drogę powrotną.

Rozdział czternasty.

- Nietoperze są wszędzie! - Krzyknął Nadwampir przelatując nad ulicami uśpionego miasta. - Lecz nie wszystkie są takie duże, jak ja! Hahahahaha! - Zaśmiał się swym krwiożerczym śmiechem. - I jeszcze

jedno; w przeciwieństwie do nich wzywa mnie zew krwi, obcej krwi - i ze swoim charakterystycznym śmiechem zniknął w mroku nocy, w który dosłownie wsiąkł.

Księżyc wychynął zza gęstej warstwy chmur, zalewając swą nikłą poświatą świat. Rozjaśnił nieco mrok zaułków. W jednym jego światło wyłuskało z mroku postać młodego mężczyzny podążającego śpiesznym krokiem gdzieś przed siebie. Starał się iść najciemniejszą stroną ulicy, tak, aby nie padł na niego choć promyk światła.

- Jak ja nie cierpię światła - wymamrotał omijając szerokim łukiem świecącą przyćmionym blaskiem starą, pociętą, trzymającą się jeszcze w jako takim pionie, latarnię uliczną; jedną z niewielu, które zdołały się oprzeć niszczycielskiej fali chuligaństwa szalejącej w takich zaułkach. Spojrzał na zegarek. Choć otaczały go nieprzeniknione, prawie egipskie ciemności z łatwością odczytał godzinę, zresztą zawsze widział w ciemności lepiej nawet niż kot.

- Trzecia nad ranem - mruknął do siebie. - Najwyższy czas wracać do domu. Dziś przespacerujemy się piechotką - powiedział i ruszył w stronę swego domostwa.

Minął dwie przecznice, skręcił w trzecią i wkrótce znalazł się naprzeciwko bramy wejściowej do swego domu, może nie tyle swego, ale w każdym razie miał tu mieszkanie. Otworzył drzwi i w tym momencie zalał go strumień mocnego światła z latarki. Oczy jego przeszył przeszywający na wskroś ból. Zawył z bólu nieludzkim głosem i zatoczył się pod ścianę klatki schodowej, jednocześnie chwytając się obiema rękami za głowę, odgradzając się w ten sposób od znienawidzonego blasku światła. Usłyszał, że ktoś doskakuje do niego i podrywa jego twarz w górę, jednocześnie z jakąś nadnaturalną, nadludzką siłą odrywa mu dłonie od twarzy i znowu świeci w twarz.

- To pan? - Usłyszał zdziwiony głos.

Brzmiał on dziwnie znajomo. - Przepraszam pomyliłem pana z kimś innym.

- Zabierz pan to światło, nie widzisz, że sprawia mi ono ból?! - Wykrzyknął głosem pełnym bólu i rozpaczy. - A tak, zapomniałem, że pan nie znosi światła - odezwał się ten, co świecił i zgasił latarkę.

- Ktoś ty? - Zapytał Piotr, bowiem to on został oślepiiony.

- To ja Dąbrowski. Jeszcze raz przepraszam, ale myślałem, że jest pan Nadwampirem. Zmylił mnie ten płaszcz - zaczął się tłumaczyć.

Piotr trochę oprzytomniał. Ból zmniejszył się na tyle, że mógł już otworzyć oczy i spojrzeć na swego prześladowcę. Zamajaczyła przed nim niewyraźna, zamazana sylwetka jakiegoś człowieka. „Czyżby domyślał się prawdy o mnie?” Zastanowił się w myślach.

- Co panu przyszło do głowy, żeby tu szukać jakiegoś wampira? - Spytał z niewinną miną.

- Nie wampira, a Nadwampira proszę pana - odrzekł na to profesor.

- A cóż to za różnica? - Spytał Piotr pozornie obojętnym tonem.

- O, jest i to duża! Na przykład... - I tu Romuald chciał udzielić obszernego wykładu na temat różnic między wampirami, a nadwampirami.

Piotr mu w porę przerwał.

- Nieważne. Może mnie pan podprowadzić do mieszkania? - Spytał, a w duchu pomyślał: „Chyba niczego się nie domyśla na szczęście.”. Tymczasem profesor wziął go pod ramię i zaprowadził pod drzwi mieszkania. Był nawet tak uprzejmy, że otworzył je kluczem podanym mu przez Piotra, wprowadził go do środka i ułożył wygodnie na łóżku. Następnie wyszedł z mieszkania. Piotr natychmiast zerwał się z pościeli, podbiegł do drzwi wejściowych, z zamka wyjął tkwiący w nim jeszcze klucz, następnie zamknął je i przekręcił w nich zamek. Zauważył przy okazji, że wzrok i ostrość widzenia powróciły do normy. Uspokojony wrócił do sypialni i zasłonił okna.

- Przeklęty Dąbrowski! Skąd on się tu napatoczył? Ech! - Machnął ręką i rzucił się na łóżko, natychmiast zapadając w głęboki sen.

Rozdział piętnasty.

Romuald wyszedł na ulicę. Dopiero teraz zauważył, że w jednej ręce trzyma mały pistolecik - ten wytargowany od Starego Toma. „To musiał być fałszywy trop. Ten człowiek nie jest Nadwampirem. On naprawdę cierpi na zaburzenia wzroku, czyli światłowstręt. Chociaż w tym płaszczu wyglądał prawie jak ten potwór. A może ja mam po prostu przywidzenia, omamy wzrokowe? To zapewne z przemęczenia. Czas udać się na spoczynek. Wsiadł do samochodu zaparkowanego w pobliżu i pojechał do domu.

Tymczasem zbliżała się północ. Z chwilą, gdy miejski zegar zabił dwunasty raz, Piotr się obudził. Po incydencie nad ranem nie zostało prawie śladu. Przypomniawszy mu o tym lekki zawrót głowy i słaby ból oczu, który jednakże dość szybko minął.

- Ten doktorek naprawdę mnie wkurzył! - Wykrzyknął w nocną przestrzeń. - Widzę, że czas zająć się nim na poważnie. Gdy go wyeliminuję, przynajmniej będę miał spokój! No to czas działać! - I z radosnym chichotem w postaci czarnego nietoperza wyleciał przez okno obmyślając sobie przy okazji plan zemsty.

Tymczasem poczuł głód.

- Muszę coś przekąsić, bo kiszki mi marsza grają, poza tym czuję, że żołądek niedługo przyklei mi się do kręgosłupa! - Rzekł do siebie.

„Teraz przydałby się jakiś ciemny kąt, w którym mógłbym poszukać przekąski” pomyślał spoglądając z góry na rzęsiście oświetlone miejskie centrum. W tym momencie, jak na zawołanie, zgasły wszystkie światła. Miasto ogarnęła całkowita ciemność. Nadwampir spojrzął w dół.

- Ale mam szczęście! To wygląda na jakąś większą awarię... Teraz się obłowię - mruknął i sfrunął w dół.

Opadł na centralną ulicę i przemienił się w przystojnego młodzieńca. Zaczął iść przed siebie, szukając w mijającym go tłumie dziewcząt zaniepokojonych panującymi wokół ciemnościami, zdolnych zaspokoić jego wciąż narastający głód krwi dziewczęcej. Nagle ją zobaczył.

Ładna, na oko siedemnastoletnia blondynka, szła przez tłum ostrożnie przeciskając się przez morze otaczających ją ludzi. Zaczął się do niej przybliżać. Był już prawie przy niej, gdy z bocznej uliczki wtoczyła się nowa fala tłumy. Fala przesunęła się oddzielając go od dziewczyny. Zaklął w duchu zdenerwowany niepowodzeniem. „Jeszcze nie wszystko stracone, na szczęście nie straciłem jej z oczu.”Pocie-

szyl się w duchu i znowu zaczął przepychać się do idącej kilkanaście metrów dalej dziewczyny. W pewnym momencie widok przesłoniła mu postać jakiegoś barczystego faceta. Przesunął się bardziej w bok i zaczął wypatrywać znajomej postaci. Nie mógł jej nigdzie znaleźć. Przepatrywał uważnie tłum, ale dziewczyna gdzieś zniknęła. Zastanawiał się, gdzie też ona mogła się podziać. W końcu wzrok jego padł na boczną uliczkę. Wtedy zrozumiał. Dziewczyna po prostu skręciła tu. Postanowił zrobić to samo. Skręcił. Zagłębiając się w nią zwrócił uwagę, że uliczka wygląda jak wymarła. Szedł nią wypatrując dziewczyny. W końcu w mroku zaczęła majaczyć jakaś postać. Gdy się zbliżył zobaczył, że to ona.

Na odgłos zbliżających się kroków dziewczyna odwróciła głowę. Zobaczyła podchodzącego mężczyznę. Przyśpieszyła kroku. Obejrzała się jeszcze raz. Mężczyzna wciąż podążał za nią, co więcej wciąż się przybliżał. Zaczęła biec. Uciekała najszybciej jak mogła, ale kroki nieznajomego wciąż się przybliżały. W końcu poczuła, że ktoś łapie ją za rękę. Chciała krzyknąć, ale jakaś dłoń zatkała jej usta. Ktoś trzymał ją mocno w swym uścisku tak, że nie mogła wykonać żadnego ruchu. Oczami pełnymi zgrozy i przerażenia ujrzała przy swej twarzy twarz młodzieńca. Ręka zakrywająca jej usta opadła w dół i poczuła pocałunek w same usta. Potem już nic nie czuła, bo straciła przytomność. W ostatnim przeblysku świadomości ujrzała wpatrujące się w nią oczy pałające jakąś dziwną rzadzą. W końcu całkowicie zwiotczała w ramionach dziwnego nieznajomego. Nadwampir widząc to, wbił swe kły w jej szyję i zaczął chciwie pić krew obficie wypływającą z zadanej rany. Gdy już się nasycił, położył dziewczynę na bruku i zamieniwszy się w nietoperza zatrzepotał swymi czarnymi jak otaczająca go ciemność skrzydłami i unióśł się w powietrze.

- Nie była to co prawda Rh minus, ale przynajmniej nasyciła mój głód - powiedział do siebie Nadwampir przelatując nad uśpionym miastem. - Zdaje się, że naprawili już awarię - wymruczał pod nosem widząc pod sobą rozbłyskujące różnymi barwami światła centrum miasta. - O! - Wykrzyknął do siebie. - Niedługo świt, czas wracać do domu!

I poleciał do swego mieszkania.

- Nie ma to jak w domu! - Mruknął zadowolony wlatując przez okno.

Zamknął je, szczelnie zasunął kotary, wskoczył do łóżka i smacznie usnął. A na dworze tymczasem rozpoczynał się dzień. Niebo na wschodzie poczerwieniało i słońce rozpoczęło swą dzienną wędrówkę na zachodni kraniec nieba.

Rozdział szesnasty.

Dziewczyna otworzyła oczy. Ujrzała nad sobą niebo. O tej porze miało kolor błękitno różowy. Odcień różu stworzyło wstające właśnie słońce oświetlające zwiewne obłoczki unoszące się na tle błękitnego nieba. Poczuła lekki ból głowy. „Co to łóżko takie twarde?” Pomyślała sobie w duchu. Nagle zdała sobie sprawę, że nie leży w swoim pokoju w łóżku, tylko na zakurzonej chodniku. „Co ja tu robię?” Zadała sobie pytanie. I wtedy przypomniały jej się wydarzenia minionej nocy. Oszolomiona wstała z chodnika i zaczęła iść przed siebie, zataczając się jak pijana. Nieliczni przechodnie uśmiechali się wyrozumiale, zapewne myśląc, że dziewczyna wraca z jakiejś całonocnej imprezy. Pewnie sobie popiła i dlatego tak się zatacza. Nikomu z mijających ją ludzi nawet przez myśl nie przeszło, że przyczyna jej zataczania się mogła być całkiem inna. Ale ona wiedziała. Idąc przed siebie ze zgrozą przeżywała doświadczenia minionej nocy. „Co oni mi zrobili?” Pomyślała ze łzami w oczach „Jak ja teraz będę żyć?”. Doszła do głównej ulicy. Tu już tłum był nieco liczniejszy. Mimo tak wczesnej pory, dość dużo ludzi przechodziło tędy śpiesząc do swoich codziennych zajęć. Niektórzy mijając ją patrzyli na nią ze współczuciem, ale nikt się jej o

nic nie pytał. Zeszła na skraj chodnika. Zaczęła spoglądać na przejeżdżające samochody. Jeszcze się wahała. W końcu podjęła decyzję. Widząc nadjeżdżający autobus wyskoczyła na jezdnię. Pojazd z piśkiem hamulców zahamował, ale było już za późno. Kierowca wysiadł i kilka metrów z tyłu ujrzał zmiażdżone przez koła jego pojazdu ciało. Podbiegł bliżej, chcąc sprawdzić czy owa osoba jeszcze żyje. Zobaczył zmasakrowane ciało młodej kobiety. Autobus uderzył ją tak, że tylko po długich blond włosach można było rozpoznać w niej kobietę. Cała dolna część ciała została zmieniona w krwawą miazgę rozciągająca się na kilkumetrowej powierzchni jezdni. Piotr usłyszał o tym w dziennych wiadomościach radiowych, ale nie skojarzył tej dziewczyny z jego nocną ofiarą. Zresztą do tej pory zdążył już o niej zapomnieć. Teraz w ogóle nie myślał o żadnej kobiecie. Teraz po prostu chciał sobie przyrządzić jajecznicę na boczku. Taka ogarnęła go na nią chęć, że zaraz wziął się do jej przyrządzania. Ochota na nią obudziła się w nim jeszcze podczas snu, gdy przyśniło mu się, że zjada jajecznicę na boczku zrobioną ze strusiego jaja. Obecnie ze względu na to, że w pobliżu nie było strusi, ani tym bardziej ich jaj, zadowolili się tuzinem kurzych, przyrządzonych na smakowicie wyglądającej, tłustej skwarce. Po zjedzeniu posiłku usłyszał, jak zegar na wieży wybija godzinę dwunastą w południe. Poczuł, że sen znowu zaczyna napływać do niego nieprzerwanymi falami, więc poszedł do sypialni i położył się do łóżka. Prawie natychmiast zapadł w drzemkę, która po chwili przerodziła się w głęboki sen.

Obudził się oczywiście jak zwykle o dwunastej. Tym razem w nocy, nie w południe. Rozsunął kotary i wyjrzał przez okno. Spojrzał w niebo. Było bezchmurne. Idealną czerń nocy rozjaśniały liczne punkciki gwiazd i księżyc w pełni. Wyglądał jak doskonale ukształtowany naturalny dysk, idealne koło. „Tak idealne kształty możliwe są tylko w naturze.” Pomyślał spoglądając na naturalnego satelitę ziemi, następnie przemienił się w nietoperza i wyleciał na swój conocny obchód, a właściwie oblot miasta.

- Dzisiaj pełnia księżyca. Czas wybrać się na cmentarz. Moja moc znowu się zwiększy - powiedział. - Hahahahahaha! - W czerń nocy potoczył się jego upiorny śmiech, cisza nocna została nim gwałtownie rozdarta.

Śmiech zaczął zanikać, aż w końcu zamilkł zupełnie i znowu wokoło zapanowała niczym nie zmacona cisza, a ogromny nietoperz skierował swój lot nie na miasto, lecz skręcił w stronę cmentarza. Wylądował w starym lasku na jego obrzeżu. Na tym miejscu był kiedyś cmentarz dla ludzi występnych. W zamierzonych czasach chowano tu także ludzi zajmujących się czarną magią, lub podejrzanych o to, oraz tych, co uznano za wiedźmy, upiory, wampiry, wilkołaki itp. Obecnie to miejsce porastały drzewa i żaden ślad nie wskazywał, że kiedyś tu chowano ludzi. Nie wiedzieli o tym nawet najstarsi mieszkańcy miasta zasiadali tu od pokoleń. Przybrał swą naturalną postać - wampira owiniętego w płaszcz. Przypadł do ziemi i zaczął węszyć posuwając się centymetr po centymetrze po obszarze zadrzewionym. W końcu zatrzymał się.

- To chyba tu - mruknął z nosem przy ziemi.

Przystawił do niej ucho, uważnie wsłuchując się w odgłosy wychodzące z jej wnętrza. Zwykły śmiertelnik pewnie by nie interesującego nie usłyszał, lecz on nie był zwykłym śmiertelnikiem. Był Nadwampirem!

- Tak, to tu - ucieszył się zadowolony z wyników swej analizy słuchowo - węchowej.

Podniósł się z ziemi do pozycji stojącej, wyjął spod płaszcza saperkę i zaczął kopać. Odrzucał hałdy ziemi najszybciej jak potrafił. Dołek rósł z zadziwiającą szybkością. W końcu przemienił się w dół większy od jego wzrostu. Rosła też hałda ziemi wyrzucanej z jego wnętrza, a właściwie z dna ziemi. W końcu

Łopata zastukała o coś głucho. Zwolnił obroty. Powoli zaczął odgarniać resztki ziemi przykrywające wieko drewnianej skrzyni. Było to nadgniłe wieko starej trumny. Chwycił za deski chcąc otworzyć je. Deski rozpadły mu się w dłoni. Z wnętrza trumny buchnął trupi odór.

- Jakież wspaniały zapaszek dobrze przegniłego mięska. Hahahahaha! - Odezwał się i zaniósł swym charakterystycznym chichotem.

Nachylił się nad trumną. Jego oczom ukazał się obraz szkieletu, gdzieś jeszcze obleczonego resztkami skóry i szerniałego mięsa. Nagle trup poruszył się. Błyskawicznie wyciągnął swe kościste ręce i chciał chwycić swego prześladowcę za gardło, ale Nadwampir był szybszy. Szybko wyciągnął spod płaszcza osikowy kołek i wbił go w pierś owego potwora.

- Czyżby zwykły wampir próbował pokonać Nadwampira?! - Wrzasnął. - Chyba coś mu się nie udało! Hahahahaha!

Trup po wbiciu kołka zawył niehumanym głosem, z rany wytrysnęła mu brunatnoczeronoróżowa substancja zalewając twarz Nadwampira i padł na dno trumny.

- No to czas na ucztę wzmacniającą! - Krzyknął Nadwampir pochylając się nad resztkami ciała i chciwie pożerając ciecz wypływającą z rany. Gdy nasycił swój głód, wyszedł z dołu i zakopał go starannie. Zatarł wszelkie ślady świadczące, że ktoś w tym miejscu kopał, czy w ogóle ruszał ziemię. Po ukończeniu roboty strzepał z siebie resztki gleby, zamienił się w czarnego nietoperza i odleciał w stronę miasta. Z uwagi na to, że zbliżał się świt, zrezygnował z polowania na dziewice i poleciał prosto do swego mieszkania. W domu zasłonił szczelnie kotary, zamykając wcześniej okno i udał się na spoczynek. Gdy zasypiał, reszta świata właśnie budziła się w promieniach wschodzącego słońca.

Rozdział siedemnasty.

Nadeszła kolejna noc. Tym razem niebo zasnowała ciemna powoła chmur, z których woda lala się jak z cebra. Świat przesłaniała gęsta kurtyna wodna, ściana deszczu ograniczająca widoczność do zaledwie kilku centymetrów. Na domiar wszystkiego wiał silny wiatr porywający ze sobą tumany wody rozchlapujące się bryzgami o napotkane przeszkody. Deszcz na szybko tworzył jakby jeszcze jedną przezroczystą warstwę. Piotr otworzył okno. Do mieszkania wdarły się strumienie wody tworząc na podłodze szybko rosnącą kałużę.

- Pogoda dla wampirów! - Wrzasnął wylatując przez okno.

Noc poniosła w dal jego charakterystyczny upiorny śmiech. Pioruny zaczęły bić coraz częściej, po ziemi niósł się raz po raz powtarzający się huk, jakby z tysiąca dział, a z nieba lały się potoki wody, tworząc na ziemi liczne kałuże łączące się ze sobą przy pomocy najpierw strumyczków, potem rwących potoków, aż wreszcie wszystko przemieniło się w jedną rwącą rzekę przelewającą się przez ulice, uliczki i nawet wąskie zaułki miasta.

- Wygląda to rzeczywiście strasznie. Istny potop - mruknął do siebie Nadwampir.

Woda kilkakrotnie wlała mu się strumieniem za kołnierz. Otrząsnął się z niej.

- Czas wznieść się nad chmury, bo i mnie tu zaleje! - Krzyknął przekrzykując grad kolejnych eksplozji

spowodowanych przez szalejącą wokół burzę.

Jak postanowił, tak zrobił. Zaczął wznosić się coraz wyżej. Chmury z każdą chwilą stawały się większe i bliższe. Nagle ujrzał nad sobą błysk. To błyskawica zbliżała się do niego z ogromną szybkością. Wykonał gwałtowny zwrot w lewo i piorun ze świstem przeleciał koło niego ocierając się lekko o Nadwampira. Jednocześnie powietrze rozdarł huk zagłuszający wszystkie poprzednie. Przestraszony nie na żarty Nadwampir szybko poszybował ponad chmury. Przelatując przez nie zauważył, że na chwilę otoczyła go gęsta warstwa mgły. Były to oczywiście chmury. Zaraz potem mgła ustąpiła i znalazł się ponad nimi. Nad nim rozpościerało się czyste niebo. Pod spodem chmury wyglądały jak spiętrzone kłęby pary, co chwilę zmieniające swe kształty.

- A niech to! Przypaliłem sobie pelerynkę! - Wykrzyknął oglądając szkody wyrządzone mu przez piorun.

Na piersi widniał pas wypalonych włosów, będących w chwili, gdy stąpa po ziemi, częścią jego peleryny. Lecąc nad chmurami nie widział blasku piorunów, tylko słyszał ich grzmot.

- Taka pogoda nie nadaje się nawet dla Nadwampirów - mruknął patrząc na nieprzerwane pasmo chmur rozciągające się pod nim. – Jak ja teraz znajdę dziewczę, przecież tu nic nie widać! - Zirytował się wypatrując jakiejś luki w chmurach. - Co prawda mógłbym zniżyć swój lot pod chmury, ale nie dość, że zmoknę, to jeszcze do reszty spalę sobie pelerynę.

Nagle zobaczył jakąś odmianę. Spowodował ją wiatr, który właśnie zaczął wiać. Warstwa chmur zaczęła falować. Nieruchome dotąd opary zaczęły się coraz bardziej zbijać, aż w końcu zebrały się w jednym miejscu. Zaraz potem wiatr popędził je na zachód, gdzieś poza miasto.

„Ja to mam szczęście” pomyślał Nadwampir. Był tak zadowolony, że musiał się roześmiać. Zrobił to po swojemu - głośno i z grobowym akcentem, potem zawył na iście wilkołaczą nutę, zrobił młynka w powietrzu i opadł na ziemię. Wylądował na jednej z bocznych uliczek niedaleko centrum.

- Trzeba znaleźć coś na ząb, bo kiszki mi coraz głośniejszą marszą grają - powiedział do siebie i zaczął brnąć przez rozległe kałuże w stronę końca uliczki.

W ten sposób coraz bardziej oddalał się od centrum metropolii. Dążył do ściśle określonego celu. Był nim dom leżący u wylotu uliczki. Stał on właściwie na skraju miasta. Tuż za nim rozciągał się stary las, którego sztuczne przedłużenie stanowił park centralny będący czymś w rodzaju jego odnogi z alejkami dla spacerowiczów i umieszczonymi wzdłuż nich ławeczkami rozstawionymi co kilkadziesiąt metrów. Park był czymś w rodzaju namiastki lasu zasadzonego tu kilkadziesiąt lat temu przez ludzi chcących przyozdobić nim miasto. Wraz z resztą lasu stanowił „naturalne płuca” miasta zatrzymujące w sobie część miejskich zanieczyszczeń. Przy okazji dostarczał mu także tlen. Nadwampir zatrzymał się przed klatką schodową. „O mały włos, a zapomniałbym zamienić się w pięknego młodzieńca” pomyślał, jednocześnie przyjmując postać wysmukłego, nieco wysportowanego młodziana.

- Że też ona musi mieszkać tak wysoko - mruknął wspinając się na dziesiąte piętro, po uprzednim stwierdzeniu, że winda jak zwykle nie działa. W końcu trafił pod właściwy numer i zadzwonił. Musiał powtórzyć tę czynność kilka razy. Wreszcie usłyszał za drzwiami szmer lekkich kobiecych kroków.

- Kto tam? - Odezwał się zza drzwi zaspany kobiecy głos.

- To ja Dżefrej - odezwał się młodzieniec.

- Już cię wpuszczam - odpowiedziała dziewczyna.

Usłyszał odgłos otwieranego zamka w drzwiach. Po chwili klamka uchyliła się w dół i drzwi zostały otwarte. Stała w nich dziewiętnastoletnia dziewczyna o kształtnej i wysmukłej figurze.

- Czy choć raz nie mógłbyś przyjść trochę wcześniej? - Zapytała zarzucając mu rękę na szyję.

- No wiesz, to wszystko przez pracę... Dopiero niedawno skończyłem... Sama rozumiesz?... - Spytał nieco się jękając.

Wiedział, że ona to uwielbia.

- Oczywiście, że rozumiem - odrzekła całując go w policzek.- Wejść do domu - dodała, jednocześnie wprowadzając go do mieszkania.

Zamknął drzwi, objął ją ramionami i pochylił się nad jej wysmukłą, łabędią szyją. Zatrzymał się w połowie drogi. „ Jeszcze nie” pomyślał” Najpierw pocałunek.” Był jak zwykle gorący i namiętny. Dziewczyna zwiotczała w jego ramionach.

- No to czas na ucztę - powiedział i zanurzył swe kły w jej piękną szyję.

Jak zwykle trafił w to samo miejsce, co poprzednio odnawiając i lekko pogłębiając starą ranę.

- Za trzecim razem smakuje równie pięknie, jak za pierwszym - powiedział. - A teraz pozwól moja mała sierotko, że ułożę cię do snu - rzekł zanosząc ją do sypialni i troskliwie przykrywając kołdrą.

Następnie otworzył okno i nie bawiąc się w żadne ceregiele przemienił się w nietoperza. Potem wyleciał na dwór. Tymczasem niebo zdążyło się wypogodzić. Wyglądało jeszcze ładniej niż zwykle. Gwiazdy jaśniały niezwykłym, czystym blaskiem, sierp księżyca wysoko na niebie wysyłał na ziemię swe bladożółte światło. Tylko nad miastem pojawił się czarny cień nietoperza. Na szczęście tym razem był niegroźny, bo wracał na swoje leże z nocnej uczty.

Rozdział osiemnasty.

Po nocnej burzy dzień zapowiadał się wyjątkowo ciepły i słoneczny. Romuald wstał o piątej, żeby jak najmniej z niego stracić. Postanowił wybrać się na ocean, by trochę połowić. Od znajomego rybaka słyszał, że ostatnio w okolicy pojawiły się ryby stanowiące wyzwanie dla tak zwanych „prawdziwych mężczyzn” łowiących na wędkę „prawdziwe”ryby. Dąbrowski uważał siebie za jednego z nich. Miał prawo tak sądzić, no, bo w końcu łowił już od dobrych kilkunastu lat i nawet zdążył mieć na swoim koncie kilka rekordowych, lub prawie rekordowych okazów ryb. Umówił się na przystani o szóstej. Stary Pit miał wypożyczyć mu swą łódź motorową. Chciał nią wypłynąć na pełne morze i popробować swych sił w zmaganiach z owymi „prawdziwymi” rybami dla twardzieli o mocnych nerwach i krzepkich rękach. Te ryby to oczywiście marliny. Pit uważał, że nie ma bardziej prawdziwych ryb niż one. I to prawdziwych bez cudzysłowia zresztą. Romuald całkowicie się z nim zgadzał i równie mocno jak on pragnął się z nimi zmierzyć. Tym razem postanowił zrobić to sam, bez niczyjej pomocy. Nawet Pita, który zapewne będzie protestował, ale i tak w końcu musi ustąpić. Poza tym nie miał wyboru, skoro wypożyczył tę łódź. Będzie musiał się zastosować do wymogów jej chwilowego właściciela. Zresztą marlin nie zając i tak szybko nie

ucieknie. Pit będzie mógł je łowić w innym terminie, a on nie. To była dla niego jedyna okazja na sprawdzenie swych sił w walce nie tylko z rybą, ale też z całym tym morskim żywiołem. Z tego wszystkiego zapowiadała się wspaniała wycieczka, połączona z chyba z najwspanialszą i chyba najbardziej ekscytującą ze wszystkich przygodą. Tą autentyczną przygodą, na którą wielu ludzi nie może sobie pozwolić. On mógł. Gdy sobie to uświadomił poczuł autentyczną wdzięczność dla siebie za to, że zdołał zaoszczędzić trochę grosza i może pozwolić sobie na tę nieudawaną przyjemność. „Tak, bycie bogatym nie jest wcale takie złe” pomyślał sobie w duchu zadowolony z siebie.

- No, czas na śniadanie, a potem w drogę - szepnął do siebie z zadowoleniem wychodząc ogolony i odświeżony z łazienki.

Zjadł śniadanie i wyszedł na dwór. Czerwone słońce dopiero wznosiło się nad dachy domków jednorodzinnych rozłożonych dość gęsto w okolicy. Na trawniku, koło którego przechodził, widniała jeszcze rosa. Trzymała się drobnymi kropelkami na samym czubku każdego listka, najdrobniejszego ździebełka porastającej go zielonym, równo przyszyżonym kozuchem trawy. Wzdłuż alejki prowadzącej na parking rozpościerał się równy szpaler pięknie przyszyżonych kwitnących akacji, których kwiaty w rześkim powietrzu rozrzucały wokół swą wspaniałą, odurzającą woń. Ponad tym wszystkim unosił się lekki opar zwiewnej mgiełki, powodujący, że wszystko nabierało ulotnych i nierealnych kształtów. Nawet okoliczne domy wyglądały jak bajkowe twory. Mgła płożąca się tuż nad ziemią tworzyła złudzenie, że pozbawione są one podstawy i na jej zwiewnym całunie unoszą się tuż nad ziemią. „Szkoda, że to wszystko jest takie ulotne” myślał profesor patrząc na owe zjawisko. Wiedział, że wkrótce promienie słońca wysuszą ów mglisty opar i cała ta sceneria zniknie, aż do kolejnego wilgotnego poranka. W końcu dotarł na parking. O tej porze, ze względu na niedzielny poranek, był zapchany pojazdami po brzegi. Musiał lawirować wśród wielu pojazdów zagradzających mu drogę, zmierzając w kierunku, gdzie stał zaparkowany jego samochód. Wreszcie doszedł do niego. Z kieszeni marynarki, którą miał pod rybacką kurtką zarzuconą na wierzch, wyjął pilota i wyłączył nim alarm. Następnie sięgnął do spodni i wyciągnął z nich kluczyk do drzwi. Otworzył je, później wszedł do środka. Zamknął drzwiczki i włożył kluczyk do stacyjki. Zanim zapalił silnik, sprawdził czy na tylnym siedzeniu są wszystkie potrzebne mu rzeczy. Umieścił je tam już poprzedniego dnia, żeby nie musieć tego robić na ostatnią chwilę. Robił tak zawsze, by następnego dnia móc jeszcze raz dokładnie sprawdzić, czy niczego nie zapomniał. Gdyby czegoś zapomniał, mógłby w takim wypadku od razu się po to wrócić, a nie dopiero później. Gdy okazało się, że tam jest wszystko, co powinien wziąć na swoją wyprawę, sprawdził jeszcze wewnętrzną kieszeń marynarki. Wymacał w niej charakterystyczny kształt pistoletu, jaki miała jego broń na wampiry. Poczuł także chłód metalu, z którego to materiału broń owa była zrobiona. Zabrał ją na wszelki wypadek, żeby się zabezpieczyć, gdyby połów przeciągnął się do nocy i gdyby musiał wracać po ciemku do domu, narażając się na spotkanie z tym psychopatą Nadwampirem. Po tym wszystkim odwrócił się z powrotem do przodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik natychmiast zaskoczył i w samochodzie dało się słyszeć charakterystyczne ciche buczenie wydawane przez niego. Dąbrowski z szufladki w desce rozdzielczej wyjął drugiego pilota, który uruchomił platformę pod pojazdem. Zjechała ona wraz z samochodem na dół. Zatrzymała się na dole na ziemi, tuż u wylotu ulicy stanowiącej wjazd do głównej arterii miasta. Romuald skierował się w stronę prowadzącą poza miasto. Wkrótce z centrum wydostał się na przedmieście. Stanowiły go domki, przeważnie jednorodzinne z obowiązkowym ogródkiem z południowej strony. Była to dzielnica ludności średniozamożnej. Za nią, trochę oddalona od głównej arterii miejskiej, rozciągała się willowa dzielnica bogaczy położona wśród malowniczych dolinek, wokół wzgórz otaczających je. W połączeniu z licznymi miniaturowymi parczkami, jasnozielonymi trawnikami, kolorowymi sadami i ogrodami pokrytymi kościercem kwiatów o najprzeróżniejszych wykwintnych barwach, tworzyły jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalnie piękny, wręcz wspaniały widok. Z ulicy owe dolinki rozciągające się nieco poniżej jej po-

ziomu tworzyły różnobarwne plamy układające się we wzorzysty, różnobarwny kobierzec rozciągający się na dość dużej przestrzeni. Tak, dzielnica bogaczy składająca się z najbogatszych obywateli miasta była dość rozległa, przez swoje położenie właściwie odizolowana od reszty miasta. Dąbrowski poszukał bocznego odgałęzienia szosy, będącego raczej czymś w rodzaju asfaltowanej bocznej dróżki prowadzącej w tamtą stronę i wjechał w nią. Dróżka znajdowała się na styku dwóch światów i prowadziła do trzeciego. Po jej jednej stronie rozciągała się dzielnica ludności średniozamożnej z jej domkami jednorodzinnymi i nienagannie utrzymanymi trawnikami, lub małymi przydomowymi ogródkami warzywnymi. Po drugiej stronie były typowe slumsy biedaków chroniących się w swoich liszajowatych ruderach przydzielonych im przez miasto. Duża część tej ludności mieszkała w drewnianych szopach, a najbiedniejsza jej warstwa używała jako swego mieszkania tylko kartonowych pudeł, w których gnieździły się często już od pokoleń całe rodziny. Ludność owej dzielnicy stanowili ludzie najprzeróżniejszych ras, pochodzący chyba ze wszystkich państw świata. Wszyscy byli bezrobotni, większość bez prawa do zasiłku, utrzymujący się tylko z żebrania lub kradzieży. Oni to stanowili przeważającą część świata przestępczego miasta. Znajdowali tu schronienie przeróżnego rodzaju degeneraci społeczni i szaleńcy. Dzielnica ta stanowiła coś w rodzaju getta odgradzonego od reszty świata niedawno wybudowanym przez władze miasta wysokim murem obrzeżonym po wierzchu drutem kolczastym pod napięciem. To zabezpieczenie jednak nie powstrzymywało odważnych, którzy nocą często przedostawali się za mur i rozrabiali w mieście. Na drutach często rozciągały się ciała tych, którym szczęście nie dopisało, lub samobójców będących w większości przypadków ludźmi słabymi psychicznie, załamanymi, złamanymi przez życie w tak nędznych i straszliwych warunkach. Kilka kilometrów dalej rozciągała się dzielnica bogaczy będąca najlepiej strzeżonym i najbardziej zabezpieczonym przed intruzami spoza niej miejscem w całym mieście i okolicy. Istniał tu tak wymyślny system zabezpieczeń, że nawet najodważniejsi, najbardziej zdesperowani, czy najcwańsi ludzie ze slumsów nie odważyli się tu zaglądać, nawet nocą. Nie udało się to nawet tym tak zwanym „ludzkim szczurom” poruszającym się kanałami i różnymi ujściami ściekowymi, z tego względu, że nawet najmniejsze studzienki kanalizacyjne były zaopatrzone w system zabezpieczeń, którego jeszcze nikt z nich nie zdołał rozgryźć. Choć nawet tam zdarzali się geniusze słynący z tego, że potrafią „rozgryźć” prawie każde zabezpieczenie, jakie zdołano do tej pory stworzyć. Każde, oprócz tego z dzielnicy bogaczy. Wyjątek stanowił śmietnik, gdzie wyrzucano śmieci z tej dzielnicy. Był on położony nieco na uboczu, tak by ludziom z tej dzielnicy nie rzucał się w oczy. On był też strzeżony, ale nie tak bardzo, jak sama dzielnica. Dlatego niektórym ludziom z biedoty udawało się czasem na niego wtargnąć i wziąć sobie coś niecoś z nagromadzonych tam śmieci, które z jakiegoś głupiego kaprysu zapewne kogoś z dzielnicy bogaczy nie było wolno im legalnie zabierać. Każdy, kto się odważył tam wejść musiał się liczyć z konsekwencją spotkania ze specjalnie wyszkolonymi jednostkami z psami tropiącymi potrafiącymi wywęszyć każdy ślad nieproszonego gościa. Te psy, gdy kogoś takiego dopadły potrafiły rozszarpać go swymi kłami na strzępy. Miejscowa policja oficjalnie o tym nie wiedziała, zresztą nawet jeżeli wiedziała, to wołała się nie wtrącać do tej sprawy. Miała inne zajęcia na głowie od zajmowania się jakimiś tam nieżywymy bezdomnymi pogryzionymi przez jakieś tam psy.

Romuald poruszał się najprędzej jak mógł w stronę dzielnicy bogaczy. Chciał jak najszybciej wyminąć strefę biedoty i znaleźć się w dzielnicy willowej, za którą obecnie osłonięty wzgórzami, rozciągał się błękitny ocean, któremu świecące słońce nadawało zapewne w tej chwili lazurowego blasku. Przynajmniej tak było, gdy Dąbrowski był nad zatoką poprzednim razem. Droga właściwie nie prowadziła bezpośrednio przez dzielnicę bogaczy, tylko mijała ją łagodnym łukiem. Profesor wiedział, że chcąc dostać się do owej dzielnicy, musiałby mieć specjalną kartę identyfikacyjną uprawniającą go do wjazdu do niej. Ale w tej chwili nie musiał się o to martwić, bo tylko przejeżdżał koło niej. Każdy kierowca trasę przebiegającą koło tej dzielnicy uważał za jej część, dlatego Romuald, chociaż wiedział, że to tylko droga obok niej uważał, że będzie tak jakby przejeżdżał przez nią. Zresztą widok, przynajmniej po jednej stro-

nie będzie taki, jak w samym tym „raju” dla bogaczy. Po pewnym czasie znalazł się w niej. Zwolnił żeby móc rozkoszować się widokiem roztaczającym się po jego prawej stronie. Najpierw przejeżdżał obok starego parku, w głębi, którego biegła alejka wykładana żwirem, prowadząca do ukrytego w gąszczu roślinności małego pałacyku otoczonego murem z czerwonej cegły. Wyglądał jak stary obronny zamek warowny. Z ulicy było widać tylko kilka wieżyczek strzelających w niebo, jakby prosto z samego serca parku. Dalej rozciągała się rozległa willa - pałacyk otoczona ze wszystkich stron kwietnym ogródkiem. Kwiaty tworzyły różnobarwne rabaty odpowiednio dobrane barwami, tworzące rozległy upstrzony nimi dywan w różnobarwne wzory. Niektóre ogrody porastały przycięte przez specjalnie wyszkolonych najlepszych ogrodników, drzewa i krzewy ozdobne tworzące często najbardziej wymyślne kształty. Między nimi, jakby wplecione od niechcenia, od czasu do czasu rozciągały się połacie sadu pełniące funkcje bardziej ozdobne niż użyteczne. W pewnym momencie wzgórza, wraz z ich malowniczymi dolinami tak charakterystycznymi dla tej ich części, raptownie się skończyły ukazując po obu stronach szosy rozległą plażę i ocean wraz z rozłożonym w pobliżu nabrzeżem jachtowym, przy którym oprócz jachtów przycumowane były motorówki. Profesor znalazłszy się koło nabrzeża skierował swój samochód do wioski. Przy okazji zauważył, że ocean zgodnie z jego przewidywaniami w promieniach słonecznych zaczął przybierać coraz bardziej lazurową barwę.

Rozdział dziewiętnasty.

Intensywnie czerwony passat wjechał w obręb miniaturowego podwórka otoczonego niewysokim metalowym płotem. Podjechał pod sam domek rybacki od strony drzwi. Tu się zatrzymał. Z jego wnętrza wysiadł nie kto inny, jak tylko Romuald. Uśmiechnął się do starszego rybaka stojącego na ganku. Pokiwał mu z zadowoleniem ręką.

- Witaj stary wilku morski! - Wykrzyknął podchodząc do niego.

- Jak zwykle przesadzasz szczurze lądowy! - Odkrzyknął na to Pit ściskając swymi spracowanymi, krępkimi rękami wyciągniętą prawicę przyjaciela.

Potem Pit spojrzał na zegarek.

- Jak zawsze jesteś punktualny. Przybyłeś dokładnie na szóstą - dodał.

- To gdzie jest ta łódź? - Zapytał Dąbrowski uśmiechając się zadowolony z pochwały przyjaciela.

Pit bez słowa wziął go pod łokieć i zaprowadził do nabrzeża, przy którym stały przycumowane łodzie rybackie.

- Ciekawe czy jeszcze potrafisz ją rozpoznać? - Spytał zwracając się do profesora.

Romuald zaczął przepatrywać oczami łodzie.

- One są tak do siebie podobne - rzekł wskazując na nie - że nie mogę jej wypatrzeć...

- Toż stoisz przed nią! - Odezwał się ze śmiechem rybak.

- A rzeczywiście - odpowiedział na to nieco speszony profesor patrząc na wypisaną czerwoną farbą nazwę łodzi.

Na burcie pisało „Czerwony Joker.”

- Pamiętasz? Sam wymyśliłeś tę nazwę ładnych kilkanaście lat temu - powiedział Pit patrząc na łódź. - Mój Boże, - dodał. - Ile to już lat upłynęło od tego czasu, a ja wciąż pamiętam tę chwilę...

- Tak. Było to bodajże na Nowy Rok...

- Tak, wtedy to dostałem od dziadka w spadku rozpadający się wrak. A teraz patrz co z niej zrobiliśmy.

- Chyba zrobiłeś, nie zrobiliśmy.

- Dobrze wiesz, że bez ciebie, albo raczej bez twego wsparcia finansowego łódź nadal gniłaby w szopie, lub w najlepszym razie poszłaby na złomowiec do pokrojenia.

-Tak, a wtedy ty nie stałbyś się rybakiem...

- Pewnie tak. Teraz gniłbym w podmiejskich slumsach grzebiąc po śmietniku w poszukiwaniu czegoś do jedzenia... Ależ to były dawne czasy - westchnął. - Ale powróćmy do rzeczywistości - mówiąc to Pit klepnął Dąbrowskiego w ramię. - Wsiadaj do łodzi i przeżyj jak najwięcej przygód! - Mówiąc to popchnął go lekko w kierunku łodzi.

- Nie chcesz jechać ze mną? - Zdziwił się Romuald.

- Przecież wiem, że chcesz dziś przeżyć tę przygodę sam. Domyśliłem się tego po twojej minie - powiedział ze śmiechem Pit.

- Wiesz co Pit? - Spytał wzruszony profesor ściskając mu gorąco prawicę.- Jesteś prawdziwym dobrym przyjacielem.

Pit otarł sobie wolną ręką łzę wzruszenia z oka.

- Wiem, wiem - powiedział wzruszonym głosem.

Zaraz się jednak opanował. Odszedł kilka kroków w stronę wioski. Gdy dotarł do miejsca, gdzie deski drewnianego pomostu stanowiącego nabrzeże stykały się z plażą odwrócił się i pomachał ręką do powoli odpływającej łodzi.

- Szczęśliwych łowów Romualdzie! - Zawołał.

Dąbrowski patrzył za niknącą w oddali sylwetką stojącą na brzegu tak długo, aż w końcu nie złała mu się z konturami brzegu. Wreszcie, gdy brzeg zniknął zupełnie, odwrócił wzrok i skierował spojrzenie na pełne morze. Zastanawiał się, w którym miejscu przezroczystej toni zarzucić kotwicę. Zaczął wpatrywać się w głębie i penetrować ją w najbliższym otoczeniu. Aż w końcu zdawało mu się, że wybrał odpowiednie miejsce. Zarzucił tu kotwicę. Toń była dość głęboka. Łańcuch kotwiczny wysunął się do niej prawie cały, zanim trafił na dno. Szorował trochę po nim, aż w końcu zahaczył się o coś twardego i łódź została zakotwiczona na dobre. Z torby wyjął wędki i na specjalnym haku zahaczył przynętę. Następnie „zarzucił kija”. Przynęta przymocowana do haka na długiej, grubej żyłce spłynęła powoli w dół. Patrzył jak niknie mu z oczu stając się coraz bardziej błękitno przezroczysta. W końcu już jej nie widział. Teraz przymocował wędkę do specjalnego uchwyty przy rufie. Sprawdził, czy trzyma się mocno. Tak, trzymała się.

Obecnie nie pozostało mu nic innego, jak tylko cierpliwe czekanie. Wiedział, że trzymanie wędziska w rękę nie miałoby najmniejszego sensu, bowiem ryba wielkości marlina jednym mocniejszym szarpnięciem wyrwałaby mu ją z rąk. Uchwyt lepiej się nadawał do przytrzymania jej i w przeciwieństwie do ręki nie drętwiał po kilku godzinach trzymania wędki. Dzięki niemu Romuald miał swobodne i wolne ręce. Zaczął rozglądać się po okolicy. Wszędzie wokół rozciągało się błękitne morze, którego powierzchnię lekko marszczyły drobne fale łagodnie kołyszące statkiem. Pod ich wpływem wędkarz poczuł się coraz bardziej senny. Z kajuty przyniósł sobie leżak i ustawił w pobliżu wędki, żeby w razie czego móc ją w każdej chwili chwycić i z pomocą kołowrotka wyciągnąć ewentualną „sztukę” na pokład. Będąc w kajucie zdjął z siebie rybacką kurtkę i położył na kozetce znajdującej się pod ścianą. Rozparł się wygodnie na leżaku i zaczął obserwować kilka mew kołujących po niebie bez żadnej chmurki. „Pogoda w sam raz do opalania” pomyślał ściągając z siebie marynarkę i koszulę. W końcu pozostał tylko w krótkich spodenkach i na bosaka. Ubranie umieścił w pobliżu leżaka, na którym ponownie wygodnie się usadowił. Spod półprzymkniętych powiek spojrzał na wędkę. Nawet nie drgnęła. Zdawała się być zastygła i nieruchoma. Przez tę swoją nieruchomość w przedziwny sposób wtapiała się w otaczającą ją sielankową atmosferę. Powieki Dąbrowskiego stawały się coraz cięższe. Co chwilę próbował je otworzyć, ale szło mu to coraz bardziej mozolnie, aż w końcu zapadł w drzemkę. Obudził się po kilku godzinach. Słońce stojące w zenicie prażyło niemiłosiernie. Poczuł, że spaliło mu skórę. „Jak to dobrze, że chociaż ubrałem czapkę. Inaczej dostałbym udaru” pomyślał podnosząc się z leżaka. Przy tej czynności poczuł piekący ból w spalonym torsie. Jęknął głośno i przeciągle prawie zwiłając się z bólu. Opadł z powrotem na leżak i leżał ciężko dysząc. Nagle zobaczył coś, co poderwało go na nogi. Natychmiast zapomniał o przenikającym całym jego przód bólu. Na nogi poderwał go widok wędki wygiętej w napięty łuk. Podskoczył do niej i ostrożnie zaczął nawijać żyłkę na kołowrotek. Z początku szło mu łatwo i bez oporu. W pewnym momencie poczuł potężne szarpnięcie, które spowodowało, że kołowrotek wysunął mu się z rąk i raniąc mu rękę zaczął obracać się w szalonym tempie. Szybko cofnął dłonie. Z jednej na deski pokładu ściekała mu krew z głębokiego rozcięcia. Nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się z zachwytem w wirujący kołowrotek. Kołowrotek w pewnym momencie zatrzymał się. Ostrożnie go chwycił i zaczął powolutku naciągać żyłkę wysuniętą na pół szpuli. Poczuł ponowne szarpnięcie. Tym razem był ostrożniejszy i szybko wypuścił z rąk kołowrotek, który znowu zaczął prędko się rozwijać. Patrząc jak żyłka znika w zastraszającym tempie w toni wodnej. Spojrzał na kołowrotek Grubość szpuli żyłki nawiniętej na niego zmalała już o połowę, a on nadal się kręcił. Zapas żyłki wciąż malał, aż w końcu się skończył. Żyłka naprężyła się mocniej, prawie do granic wytrzymałości. Już myślał, że pęknie. Ale nie, trzymała się nadal. Za to kij zaczął podejrzanie trzeszczeć. „Jeszcze trochę i ten potwór złamie mi wędkę!” Pomyślał przerażony profesor. Był zarazem zafascynowany siłą, jaką dysponowała ta ryba. Okazało się, że ta mieszkanka głębin oceanu musiała już być nieźle zmęczona, bowiem żyłka zwiotczała i ryba zdawała się zbierać siły do dalszej walki z tym czymś, co nie pozwalało jej dalej płynąć. „Teraz albo nigdy.” Pomyślał profesor chwytając ponownie za kołowrotek i nawijając szybko żyłkę. Tym razem czuł tylko lekki opór ciała ryby, która na razie zrezygnowała z próby ucieczki. Zdołał nawinąć większą część żyłki, kiedy ją ujrzał, jak wyskoczyła na chwilę z wody. Był to wielki kilkumetrowy miecznik, największy, jakiego Dąbrowski dotychczas widział. A widział ich wiele i to naprawdę wielkich. Lecz takiego kolosa widział pierwszy raz w życiu. „Jak go wyciągnę, będzie to największa ryba jaką uda mi się złowić w całej mojej karierze rybackiej! To prawdziwy gigantyczny potwór!” Pomyślał ostrożnie holując rybę do brzegu burty. Gdy udało mu się przyholować ją do niej, podniósł z ziemi ogromny sak do wyciągania marlinów. Był on osadzony na długiej metalowej rączce, a właściwie grubym pręcie pozwalającym na zanurzenie go w wodzie bezpośrednio z burty. Ostrożnie podholował go pod rybę i z całej siły dwoma rękoma podciągnął go w górę. Mocne szarpnięcie omal nie wyrwało mu go z rąk, ale był na nie przygotowany. Natychmiast naprężył wszystkie mięśnie i zapierając się mocno nogami szarpnął najmocniej jak mógł. Odniosło to pożądaný skutek. Ryba pod wpływem tego wyleciała wysoko w powietrze, gdzie zakreśliła szeroki łuki i wy-

ładowała na deskach pokładu. Romuald natychmiast rzucił się na zwierza leżącego w oszołomieniu, chwyciwszy po drodze specjalnie przygotowany długi drąg, którym najmocniej jak potrafił uderzył kilka razy w rybią głowę. Po kolejnym ciosie kość pękła z głośnym trzaskiem, drąg zanurzył się w miękkim mózgu rozpryskując go na boki. Większość krwistoczerwonej masy poleciała na Dąbrowskiego, pokrywając go swą kleisto- galaretowatą masą od stóp do głów. Jednocześnie ryba wykonała ostatni szaleńczy skok w powietrze zrzucając z siebie swego prześladowcę, który padł na deski pokładu. Zwierzę spadając przygniotło swym martwym cielskiem zszokowanego człowieka.

Romuald na chwilę stracił przytomność. Gdy ją odzyskał poczuł, że przygniata go jakiś ogromny ciężar uniemożliwiający mu prawie zupełnie oddychanie. Otworzył oczy. Przed nim była ciemność. Stanowiła ją część ciała ryby znajdująca się na jego twarzy. Zaczął rozpaczliwie się kręcić, próbując za wszelką cenę złapać choć odrobinę oddechu. Na razie nozdrza wypełniała mu obrzydliwa woń ryby. W końcu udało mu się wysunąć spod niej głowę i zaczerpnąć odrobinę powietrza. Czół, że to mu nie wystarcza, bowiem płuca przygniatał mu nieznośny ciężar ryby. Jeżeli chciał ocalić życie, musiał działać szybko. Wyswobodził ręce spod śliskiego cielska, następnie zdołał zepchnąć stwora z siebie tak, że miał pod nim tylko nogi. Nabrał kilka głębszych haustów orzeźwiającego morskiego powietrza, przy okazji zauważając, że wokół panuje już ciemność. Wyciągnął nogi spod ryby. Wstał nieco chwiejnie. Chciał zrobić kilka kroków. Zatoczył się i upadł na oparcie stojącego w pobliżu leżaka. Oparcie osunęło się na ziemię i leżak z trzaskiem przewrócił się na ziemię. Romuald zleciał nieco na bok na swe ubranie leżące jeszcze wciąż na pokładzie.

- Witaj profesorku - z otaczającej ciemności rozległ się złowieszczy szept.

- Co?... Kto tu? - Wybełkotał zdziwiony Dąbrowski.

Z ciemności wynurzyły się niewyraźne zarysy jakiejś ciemnej postaci.

- Ktoś ty? - Wymamrotał zdziwiony profesor. - I jak się tu dostałeś?

- Nie martw się doktorku to tylko ja. Hahahahahahaha!!! - Zachichotała postać i zbliżyła się jeszcze bardziej do przerażonego Romualda.

Na dziwną postać, na jej twarz padło rozproszone światło księżyca. Wtedy go rozpoznał. Był to Nadwampir. Dzieliła go od profesora tylko ryba. W upiornym blasku księżyca wyglądał wręcz potwornie. Przekroczył rybę i zaczął zbliżać się do profesora. W tym momencie umysł profesora zaczął działać szybko i intensywnie. Rozpaczliwie myślał nad jakimś sposobem ratunku. Wreszcie przypomniał sobie. Pistolet na wampiry. Miał go przecież w kieszeni marynarki. Sięgnął ostrożnie pod siebie. Wiedział, że marynarka leży na wierzchu, bowiem czół charakterystyczny ucisk obłego kształtu broni. Szybko sięgnął do kieszeni, ale zdążył ją tylko pochwycić, ponieważ w tym momencie Nadwampir chwycił go mocno za prawą stronę klatki piersiowej i wbił w nią palce niby szpony. Dąbrowski wrzasnął z bólu, ale broni nie wypuścił z prawej ręki. Nadwampir uniósł go do góry.

- Teraz z tobą skończę pluskwo! - Krzyknął biorąc zamach by go wyrzucić do wody.

Romuald z trudem podniósł rękę z bronią. Zamglonymi oczami wycelował w głowę Nadwampira i strzelił.. Broń wydała charakterystyczny świst i w głowę potwora wbił się specjalnie utwardzony osikowy kolek. Ciszę nocną rozerwał przeraźliwy ryk bólu umierającego upiora. Właściwie lepsze byłoby określenie ponownie umierającego upiora. Nadwampir zatoczył się na barierkę odgradzającą go od morza, prze-

chylił się nad nią i runął wraz z doktorem w otchłań morską.

„Godzina siódma. Podajemy państwu serwis informacyjny, Dzisiaj o piątej rano znaleziono łódź rybacką „Czerwony Joker” zakotwioną w Zatoce Marlinów, należącą do Pita Borowsky, na której pokładzie poprzedniego dnia wypłynął jego bliski przyjaciel na połów marlinów. Był to niejaki Romuald Dąbrowski uważający się za specjalistę od przeróżnych zjawisk paranormalnych. Na pokładzie statku znaleziono zwłoki ogromnego miecznika z rozplataną głową. Cały pokład zalany był krwią i resztkami mózgu prawdopodobnie tego marlina. Chociaż może część tego mogło należeć do pana Romualda. Łódź znaleźli policjanci WOPR- u podczas rutynowego patrolu nabrzeży i strefy brzegowej oceanu. W przezroczystej wodzie widniało ciało jakiegoś mężczyzny. Obok niego, jakby wczepiony swymi kościstymi palcami w jego klatkę piersiową leżał szkielet ludzki należący prawdopodobnie do osoby płci męskiej Szkielet charakteryzował się tym, że w tylnej części głowy miał wbity głęboko ostry kołek. Policja ciało i szkielet zabrała do policyjnej kostnicy, gdzie zostaną one podane szczegółowej analizie, na podstawie, której zostanie ustalona przyczyna zgonu obu osób. Na jachcie zaś zabezpieczyli ślady rozegranej na jego pokładzie tragedii i na pewien czas policjanci go zarekwirowali.”- Fragment serwisu informacyjnego lokalnej rozgłośni radiowej.

KONIEC.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

swistakos, dodano 20.02.2013 09:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.